



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 0.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

DZIECI I PRZYRODA.

(Dokończenie).

Charaktery wychodzą na niej bodaj gorzej jeszcze, niż umysły. Naturalne potrzeby dzieci w mieście zupełnie uwzględnione być nie mogą. Nietylko ani na chwilę nie pozwalamy im być sobą, ale nawet wszelkie usiłowania nasze muszą zmierzać do tego, by ich egzystencja jak najmniej się ujawniała, jak najmniej dawała we znaki. Ileż to cnót niepotrzebnych wpajać musimy tym biednym dzieciakom przez wzgląd na lokatorów sąsiednich mieszkań, na stróża kamienicy, na gości i przechodniów, na ciasnotę mieszkania, na umeblowanie i dekorację pokoi i t. p. W pokoju każda ruchliwsza zabawa jest niemożliwą, na ulicy niebezpieczną, w ogrodach zaś, jeśli się jedna partya dzieci wesoło zabawia, dla całej wielkiej reszty braknie miejsca i dostatecznego spokoju. Zabawki giną, sukienki się niszczą, przechodnie potrącają, więc mimo najszerszej chęci, niezmiernie liczne rzesze spragnionych zabawy, lecz słabszych i mniej śmiałych dzieci zasiadają na ławkach i patrzą z zazdrością na kilka rozbawionych gromadek, które opanowały wszystkie place. A przytem ile strasznych pokus, które ujarzmić trzeba! Jest trawa, po której nietylko koziołków przewracać, ale nawet deptać niewolno; są kwiaty, ale ich nie można ani dotknąć, ani powąchać, a cóż dopiero zrywać i bukiety układać. Biedne małe dusze ulatują w daremnych westchnieniach, rozsadzane nadmiarem niespełnionych i tłumionych pragnień. Mówią, że to je uczy panowania nad

sobą — zapewne. Jednakże korzyść z tej nauki wydaje mi się wielce wątpliwa. Nie wiem dla czego np. człowiek miałby zawsze nad sobą panować, t. j. panować nad wszystkimi swymi uczuciami i popędami; nie wiem nawet, jakby to mógł osiągnąć. Rozumiem, że dobrze jest czasem znosić głód cierpliwie, ale nie rozumiem, jakaby była ztąd korzyść, gdyby być zawsze i stale głodnym. Najniezawodniej wtedy myślałoby się ciągle o jedzeniu i tylko o jedzeniu, a czy to miałby być wyższy szczebel uduchowienia? Ażeby panować nad wyższymi popędami, trzeba w sobie wyrobić i spotęgować popędy wyższe, ale panując nad wszystkimi, wszystkie redukując i ograniczając, pozbawiamy się całej treści duchowej. Jeżeli w dzieciach ich samodzielność zawsze krępować będziemy, jeżeli im nie damy nigdy swobody ruchów, głosu, swobody myśli i czynu takiej, jakiej doznawać powinny w dziedzinie niekrępowanej i niekierowanej przez nikogo zabawy, to albo w nich zupełnie indywidualność zabijemy, albo ją zamienimy w jedno wielkie uczucie niezaspokojonego, dręczącego głodu. Po takiej edukacji obdarzyć je naraz swobodą, to istotnie puszczać się na eksperyment dosyć niebezpieczny. A poza tem, ileż to niezdrowych czynników działa na serca dzieci w wielkomiejskim życiu! Ile szkodliwych miazmatów różnorodnej zarazy moralnej zatrąwa ich dusze? Z targowiska próżności, z pola wyścigów o chlebobojne stanowisko i niezmordowanej gonitwy za rublem, z atmosfery kłamstw konwencyonalnych, legalnych oszustw towarzyskich, filantropii popisowej, widowisk podniecających, odurzających flirtów i ogłupiających zdawkowych komplementów, wydzielają się różne niezdrowe wyziewy, przeciw którym odporność jeszcze się w tych młodych duszach wyrobić nie mogła.

Myliliby się, toby sądził, że trująca atmosfera moralna wytwarza się tylko wśród niższych

warstw wielkomiejskiej ludności. Jest ona i tam, jest może jeszcze szkodliwsza, ale przenika wszędzie. Tak samo jak w fizycznym, tak i w moralnym znaczeniu, dzieci w wielkim mieście nie mają czem oddychać, ani te, co w suterrenach, ani też te, co na pierwszych piętrach mieszkają. Te ostatnie są o tyle szczęśliwsze, że rodzice jeśli chcą, a przedewszystkiem, co znacznie rzadsze — jeśli umieją, mogą w znacznym stopniu szkodliwym wpływom przeciwdziałać. Rodzice pierwszych są zwykle nietylko umiejętnościami, ale i wszelkich niezbędnych w tym celu środków pozbawieni.

Bardzo dalecy jesteśmy zapewne jeszcze od tej epoki, w której ludzie „dla edukacji“ dzieci nie ze wsi do miast, lecz z miasta na wieś wywozić będą. Zanim ona jednak nastąpi, możemy czynić to i owo — dla częściowego neutralizowania złych skutków, jakimi wychowanie wielkomiejskie młodym pokoleniom grozi. Jeśli one nie mogą stale żyć na wsi, niech przynajmniej ile możności jak najwięcej na wsi przebywają i w najodpowiedniejszym dla siebie otoczeniu żywej przyrody leczą te umysłowe i moralne choroby, jakich w mniejszym lub większym stopniu na bruku ulicznym się nabawiają.

Gdyby całe społeczeństwo zrozumiało dokładnie i gorąco odczuło tę prawdę, że nietylko dla wątłych i słabowitych, lecz dla wszystkich dzieci pobyt na wsi jest zbawiennym, koniecznym, niezbędnym, wyteżonoby wszystkie siły w tym celu, by ile możności żadne dziecko całych dwunastu miesięcy rocznie w murach miejskich nie przepędzało.

Przedewszystkiem naturalnie zwróconoby uwagę na te dzieci, którym rodzice nie są w stanie ani potrzebnej wilegiatury, ani też w mieście najmniejszej wygody i higienicznych warunków dostarczyć — t. j. na te, któremi się opiekuje Towarzystwo kolonii letnich. Wysyła ono w tym roku niespełna 3000 dzieci na wieś. Jest

to niezmiernie mało w porównaniu z ludnością Warszawy. Z tych trzech tysięcy — (w najlepszym razie) żadne dłużej niż cztery tygodnie nie przeżyje na świeżym powietrzu. Jest to iście homeopatyczna doza lekarstwa — ależ zawsze jakieś lekarstwo. Tutaj pozwolę sobie na jedną uwagę. Niewtajemniczona dokładnie w działalność towarzystwa higienicznego — nie wiem, dla czego tak się dzieje, może być, że są do tego ważne powody — widzę jednak, że wysyła ono dzieci bardzo licznymi grupami, jeśli się nie mylę, począwszy od 30 do 100 razem. Naturalną jest rzeczą, że trzeba bardzo bogatych właścicieli ziemskich, by tak licznej rzeszy dać pomieszczenie. Być może, że nie wszyscy bogaci czynią tyle, ileby mogli; być może, że są tacy, którzy się jeszcze do ofiarności względem kolonii letnich wcale nie poczuwają, a nareszcie i to jest możliwym, że gdyby zamiast ofiar w naturze, płynęły w odpowiedniej ilości do kasy towarzystwa ofiary gotówką — mogłoby ono na własną rękę, nieczem niekrępowane, tworzyć kolonie letnie w miejscowościach przez siebie wybranych, dowolnie kupując lub wydzierżawiając grunta, stawiając budynki i t. p. I w tym kierunku więc możnaby zapewne zrobić więcej niż się robi. Tymczasem jednak — sądzę, że znacznie więcej dzieci na wieś rozesłać by można, gdyby się odwołano do ofiarności ludzi na wsi zamieszkałych, a tylko średnio zamożnych, którzy nie mogą zakładać licznych kolonii, lecz mogliby co lato po kilku chłopców lub kilka dziewczynek u siebie pomieścić, odżywić i dobrą otoczyć opieką. Nie przeczę, że system ten ma pewne ujemne strony, utrudnia zarządowi opiekę i kontrolę nad małymi letnikami; przypuszczam jednak, że strony dobre przeważyłyby szalę. Jest on zresztą już tu i owdzie praktykowany. Do ostatniego czasu wylącznie w ten sposób radzono sobie w Poznaniu, i bądź co bądź, dzieci wychodziły na tem lepiej, niż gdyby były zupełnie murów miejskich nie opuszczały. Nietylko jednak praktyczne względy przemawiałyby za rozsyłaniem dzieci na wieś mniejszymi znacznie grupami. Sądzę, że i ze względów pedagogicznych nie dobrze jest dla nich zbyt ciągłe w licznej gromadzie. Wychowanie hurtowne, gromadne, ma bardzo ujemne strony. Przedewszystkiem im liczniejsze grono dzieci razem się chowa, tem większego potrzeba rygoru dla utrzymania ich w porządku i kierowania nimi. Karność musi wzrastać w zupełnie prostym stosunku do ilości wychowanców. Ztąd wynika, że w licznych szkołach swoboda dzieci bywa znacznie węższej krępowana, niż tego moralne względy wymagają. Zakazy i nakazy tracą wtedy charakter pedagogiczny, a przybierają — że się tak wyrażę — policyjny. Dla samego ułatwienia dozoru musimy im zabraniać wielu takich rzeczy, które same przez się nietylko złemi nie są, ale najzupełniej na uwzględnienie zasługują.

I nietylko to, co pod wyrazem karności rozumiemy, lecz w ogóle życie gromadne krępuje moralną i umysłową samodzielność dziecka. Potrzebuje ono opieki — to pewna, ale potrzebuje także względnej samotności, dającej jakie takie pole do rozwinięcia własnej pomysłowości, do puszczania wodzy wyobraźni, — tej władzy, której ogromne znaczenie w umysłowości dziecka dopiero teraz oceniamy. Otóż jest rzeczą stwierdzoną, że życie gromadne w ogóle osłabia wyobraźnię. Działalność jej jest poniekąd ściśniona we wszelkiej organizowanej zabawie, a przedewszystkiem paraliżuje ją interwencja osób starszych, których imaginacja już ochłodziła. Na to ujemne znaczenie życia gromadnego i zabaw organizowanych i kierowanych zwracają dziś uwagę pedagogowie angielscy np. miss Marion Hamilton Carter, która z tego powodu występuje przeciwko ogródkom dziecięcym, a także i autorowie francuzcy, którzy obecnie z całą siłą zwracają się przeciw licznym i przepelnionym internatom (p. t. „Dusza dziecka“ p. Jean Aicard).

Wychowanie zbiorowe wprawdzie potęguje intensywność społeczne dzieci, lecz natomiast zaciera

ich cechy indywidualne. Niweluje ono umysły i charaktery, wyrabia pewną bierność i doprowadza liczne zastępy różnorodnych jednostek do jednego przeciętnego szablonu. Sądzę, że możnaby korzyści jednego i drugiego systemu połączyć, tworząc stosunkowo nieliczne gromadki i kółka dzieci, któreby mogły nie krępowane i nie krępując się wzajemnie, jednakże wyrabiać w sobie uczucia koleżeńskie sympaty i solidarności.

Z pomiędzy dzieci warstw średnio zamożnych, stosunkowo znacznie większy procent opuszcza Warszawę latem. Dużo ich jednak w mieście pozostaje. I tu również mogłaby przyjść w pomoc gościnność kolegów i koleżanek, jak to jedno z pism naszych nadmieniło — na tej gościnności jednak zbyt wiele budować nie można, gdyż działałaby ona tylko dorywczo i rządziłyby nią z natury rzeczy osobiste sympaty, nie względem na potrzeby dziecka. Jednakże z pomiędzy ludzi, którzy nie mogą się zdobyć na wynajęcie letniego mieszkania na własną rękę, lub których praca i interesa w mieście zatrzymują, znalazłoby się wielu takich, którzyby chętnie poświęcili trochę grosza, byle ich dzieci świeżym powietrzem odetchnąć mogły. Dla nauczycieli i nauczycielek znalazłoby się nowe pole pracy i zarobku, gdyby mogli w porze wakacyjnej zbierać małe gromadki dzieci i wyjeżdżać z nimi do zdrowych a nie drogich miejscowości na prowincyi. Sądzę, że o opiekunów i opiekunki nie byłoby zbyt trudno, gdyż choć świat nauczycielski zmęczony jest całoroczną pracą, to jednak ze względu na materialne położenie dla wielu z nich wakacje są za długie. Mowa tu szczególnie o takich, co dają lekcje prywatne; jak wiemy, kończą się one zwykle w początku Czerwca, a zaczynają się dopiero w początkach Października. Dla młodzieży starszej nieocenione byłyby wycieczki wakacyjne pieszo do różnych miejscowości kraju, takie, jakie się teraz organizować zaczynają, a powinnyby się jak najbardziej rozpowszechnić.

Nie zawsze jednak tylko względy materialne i oszczędnościowe pozbawiają nasze dzieci rozkoszy i pożytków z wiejskiego życia płynących. Ludzie bogaci, mogący dowolnie miejsce swej wilegiatury wybierać, nieraz zupełnie nie zdają sobie sprawy z umysłowych i moralnych potrzeb swych dzieci, uszczęśliwiają je w sposób bardzo kosztowny, a bardzo mało pożyteczny. Naprzykład zamiast wywieźć je po prostu na świeże powietrze i puścić na wiejską swobodę, wożą je na dalekie zagraniczne podróże, trzymają w przedludniowych miejscowościach kuracyjnych lub w wod nawet wtedy, jeśli żadna choroba do tego nie zmusza. Pod względem higienicznym pobyt w takich miejscowościach może pewno nieraz równie dobrze działać, jak pobyt w zdrowej okolicy na wsi, pod względem umysłowym i moralnym jednak jest on prawie równie niepożytecznym, jak życie w mieście. Dla młodszych dzieci zwłaszcza podróże są bardzo mało kształcącym czynnikiem. Potrzeba na to już wytrawniejszego i choć do pewnego stopnia dojrzałego umysłu, by z chaotycznych i przelotnych wrażeń, doznawanych przy pośpiesznym zwiedzaniu miast i krajów — korzyści wyciągnąć. Zmęczenie umysłowe, wywołane wielkomięskim trybem, potęguje się jeszcze, a wszystkie te spokojne i kształcące wrażenia, jakich dziecko wśród swobody i ciszy wiejskiej doznawać może, pozostają nieznanne. Miałam kiedyś 11-letnią uczennicę, córkę bogatej rodziny, która corocznie wakacje zagranicą przepędzała. Dziecko nie umiało nawet zupełnie dokładnie powiedzieć, dokąd i którędy jeździło. Zapytywane przeze mnie o okolice, które przebywała, powiedziała wprost, że ona nigdy przez okno wagonu nie wygląda i nie wie, jak wyglądały te kraje, które linia kolejowa przecina. Taż sama dziewczynka nie miała pojęcia o tem, co oznacza wyraz „żniwa.“ Z podróży swych wyniosła mgliste wspomnienie, że Odra płynie pod Berlinem, a gdy jej zdanie sprostować chciała, zamknęła mi usta nieprzemyślanym argumentem, „że ona. Odrę widziała pod Berlinem.“ Zgodzę się na to, że było to na swój wiek bardzo mało rozwinięte

dziecko, choć zresztą zupełnie zdrowe; jednakże jest wielką kwestyą, czy nie byłaby się rozwinięła normalniej, gdyby jej wrażenia podawano w pewnym naturalnym i harmonijnym porządku, gdyby jej młody mózg nie był żył w ciągłym oszołomieniu i zamęcie. Miejscowości kąpielowe mają dla dzieci starszych znowuż tę ujemną stronę, że są często wystawą próżności i zbytku, polem widowisk i zabaw, a nieraz także gniazdem nudów i plotek. Jeśli rodzice nie chcą i nie umieją się odosobnić i stworzyć sobie własny tryb życia, oraz zdrowe moralnie otoczenie, dzieci narażone są na te wszystkie szkodliwe wpływy, którym podlegają w wielkiem mieście. Ci więc, którzy dowolnie wybierają sobie miejsce letniego pobytu, powinni pamiętać o tem, że dla ich dzieci wakacje powinny być nietylko odpoczynkiem i fizyczną kuracją, ale także kuracją moralną i umysłową, a głównym warunkiem tej ostatniej jest odżywcza kąpiel w świeżej krynicy przyrody.

J. Moszczeńska.

NA WERENDZIE.

(POGAWĘDKA).

Czy wiecie, łaskawe czytelniczki moje, a szczególnie szczęśliwe mieszkanki wsi, że dotąd jeszcze niesłyszałem śpiewu słowika. Wprawdzie trel jakiś, gwizd jakiś słowicy zdaleka do mojego ucha doleci czasami, ale to śpiew dziwnie wymuszony i smutny, i poznać łatwo, że to nie śpiewa ptak na swobodzie, ale więzień w klatce drucianej.

W ogrodach miejskich i zamiejskich — cichol! Oddawna rozwinęły się już krzewy, bzy przewijają, jaśminy listkami białymi osypują ziemię, a ani razu serdeczna piosnka słowika nie odezwała się wśród tych krzewów, ani razu bardzo wiosenny nie przemówił do duszy nieczyjej srebrnymi dźwiękami swej piosenki! Ale jak tu śpiewać, gdy naukowe przepowiednie Falba spełniają się z całą niemal dokładnością. „Pierwszy tydzień Czerwca będzie zimny i słotny, następnie zawitają przymrozki, a wreszcie, pod koniec miesiąca, można się nawet nieco śniegu spodziewać!..“

Tak brzmi przepowiednia.

Pomimo całego uszanowania dla nauki, wolalbym jednak, ażeby, przemawiając przez usta pana Falba, rozminęła się w danej chwili z prawdą. Bo jeżeli miesiące wiosenne przeszły, nie pozostawiając po sobie żadnych cieplejszych wspomnień; jeżeli początek lata grozi zimnem, mrozem i śniegiem — to cóż nam po reszcie dni letnich pozostaje, graniczących ze smutną jesienią, gdzie wszystko chyli się do snu zimowego? Zmęczony umysł, zmęczone serce i piersi zmęczone pragną spoczynku na łonie ciepłym słońcem ogrzanej przyrody, ażeby jesienią zaprzadzić się znów do jarzma pracy, ze wzmocnionymi siłami ciągnąć dalej taczkę żywota, którego celu nie widzi się czasami, który nieraz wydaje się jakąś straszną omyłką sił twórczych, jakąś igraszką w ręku ślepego przeznaczenia.

Tymczasem przepowiednie pana Falba, bez względu czy nam się podobają, czy nie — spełniają się bezwzględnie. Po deszczach i gradach, mieliśmy dni chłodne, ale jakkolwiek bez ciepłych paltotów obejść się było trudno, nie wierziliśmy w mroz, a tem bardziej w śnieg czerwcowy. Tymczasem temperatura z dnia na dzień o jeden obniżała się stopień, i oto, w chwili, gdy piszemy te słowa, dochodzą nas wieści z prowincyi, że w dniu ósmym bieżącego miesiąca pola pokryły się białą powłoką mrozu; kolejną jadącą podróżni dygotali, szczękając zębami, pan Falb zaś nie czuł żadnej litości w swem sercu, jeno z całym spokojem uczonego męża rzucił nam wszystkim na pocieszenie słowa:

— Doczekacie się śniegu jeszcze!...

Miła perspektywa — ale trudno już wątpić o prawdziwości słów uczonego.

W czerwcu — śnieg! Takiej awantury nie widzieliśmy jeszcze, ale rok bieżący zapowiada nam i inne niespodzianki. Przecież to w tym roku, zdaje się, w miesiąc Październiku, jakiś wagał się niebieski, kometa zwany, ma zabiedz drogę naszej ziemi i nos w nos z nią się spotkać. Jeżeli śnieg pana Falba może przed czasem w przestworzach niebieskich roztopić się, *rendez vous* ziemi z kometa — jest wypadkiem niecofniętym, a że wyliczenia astronomiczne na matematyce oparte, omyłek nie znoszą, będziemy niedługo uczestnikami tego spotkania, tej przynajmniej jakiejś nowości w jednostajnym życiu naszym. Szczęściem tylko, że kometa nie jest ciałem zbitym, lecz lotnym a przezroczystym, musi więc jego o ziemię, niewiele tej ostatniej szkody przyniesie, a że włóczędże towarzyszyć mogą jakieś odłamki ciał malutkich, może przed miliardami wieków światów rozbitych, więc będziemy świadkami tylko przebiegu zjawiska gwiazd spadających, ognistego deszczu, jeżeli w dojrzeniu tego fenomenu nie przeszkodzą mgły i chmury. Bądź co bądź, wiek dziewiętnasty nie skończy się zwyczajnie. Końca świata nie będzie, ale nowość jakaś zainteresuje nas przynajmniej.

Tymczasem z powodu przepowiedni pana Falba najbardziej cierpią teatryki ogródkowe. Te jeszcze, które mają dach nad głową, wychodzą jako tako, ale świecące ażurem swych ścian, świecą po większej części pustkami, a panowie dyrektorowie posępnem okiem spoglądają dokoła, czując w kieszeniach swych pustki. Jedni tylko wyścigowcy nie zważają na zmiany atmosferyczne. Czy słońce żarem pali, czy niebo rozgrzmiewa piorunami, czy chłód, czy wichur, czy teren suchy, czy rozmokły — „hopla!” pomykają naprzód na folblutach dżokeje strojni, łoża świecą barwistemi sukniemi pań, sędziowie znajdują się na swoim pesterunku, za baryerą tłum plac zalega, grzmia oklaski po nowem zwycięstwie „Tamerlana” albo „Petite Jeanne,” w antraktach muzyka przygrywa, a przed oknami totalizatora ruch mrówczy, nie ten tylko, który znosi materiały do budowy mrowiska, lecz ten, który cząstkami mrowisko rujnuje.

Nie wierząc w szczęście, nie próbowałem nigdy „szczęścia” na placu wyścigowym, a o ile nauczyło mnie doświadczenie — iunych, to przed temi okienkami najpospolitszy *zawód* chodzi. Każda gra hazardowa dziwny ma urok, w niepojęty sposób oslepia, roznamiętnia, porywa, szczególnie gdy na razie pewne powodzenie uśmiecha się zdaje. Udało się raz, uda się raz drugi; a gdy *zawód* następnie spotkał, mówią gracze: nie udało się raz, udało się drugim razem. Gdyby ta wiara w powodzenie nie opanowywała ludzi w innych, donioślejszych stokroć wypadkach, mielibyśmy niejedno dobro, zbudowane przez tę siłę woli i przez tę wiarę w skuteczność czynów podjętych.

Jedna z pań mi znajomych, przybywszy z przyjaciółmi, zapragnęła być na wyścigach.

Towarzyszyłem jej.

Widząc ruch przy okienkach, płacone i wypłacane pieniądze, zachciała „spróbować szczęścia.”

Odradzałem.

— Wygram!...

— A jeżeli pani przegra?

— Czuję, że wygram!

Na taki argument na nic się nie zdały tłumaczenia wszelkie.

Na „Tamerlana” — czuję!

Za przeliczenie to zapłacono dwadzieścia pięć rubli.

W biegu drugim występowała „Trilby.”

— Ta weźmie — napewno! Prawda panie?

— Nie znam się na tem — odpowiedziałem.

— Mam przeczucie...

Zawiodła i „Trilby” niegodziwa.

— Ale tu żadne konie nie wygrywają! — zawołała, płonąć jak róża pani Mimi.

— Te przynajmniej, na które pani stawia.

— Rozumiem... nie stawiałam na „Trick-Track...”

— Pani! — zawołałem — oby „trick-track” z portmonetką pani nie było!

— Jestem spokojna!... Nie udało się raz, drugi — raz trzeci się uda. Zresztą, mam przeczucie... Podwajam stawkę na „Trick-Track!...”

Wzięła „Trilby.”

Pani Mimi pobladła,

— To oszukaństwo!

— Losu...

— To—to...

Łzy zakręciły się jej w oczach, a może skutkiem wstydu... przed mężem, który na wsi pozostał.

— Nie mów pan nic Olesiovi o mojem niepowodzeniu — rzekła, gdyśmy opuszczali plac wyścigów.

— Ale co pani powie, gdy o pieniądze zapyta?

— Powiem, że mi skradziono.

Wystąpiłem z pewnym morałem, ale — jak to zło jedno pociąga zaraz drugie za sobą...

Czemże jest totalizator? Uprawnionem złem, tolerowanym, w niepojęty dla mnie sposób, przez ludzi rozumnych nawet i uczciwych. A oto świeży wypadek, o którym wiadomość czerpiemy z pism codziennych:

„Zamieszkały w Warszawie majster szewcki X., właściciel zasobnego magazynu obuwia, zebrawszy sobie z ciężkiej pracy około 2000 rubli, w roku zeszłym kupił plac gdzieś w okolicy podmiejskiej i w r. b. miał przystąpić do budowy domku mieszkalnego. Na ten cel posiadał, po zapłaceniu placu, około 1600 rb. Plan dom był gotów, przedsiębiorca budowlany zgodzony i do robót miano w tych dniach przystąpić. Kiedy rozpoczęły się wyścigi, X. poszedł niby dla zabawy i pierwszego dnia wygrał 120 rb. W domu była radość, gdyż postanowiono domek powiększyć. W drugim dniu naturalnie nasz szewc poszedł powiększyć swój kapitał, lecz jak łatwo było do przewidzenia — przegrał. W następnych dniach chciał się odegrać i przegrał cały kapitał 1600 rb. Obecnie wyrывa sobie włosy, żona rozpacza, a domek „spalił” totalizator.”

A od dzieciństwa uczymy się bajki o dziewczynie, idącej na targ z garnkiem mleka...

Nie żał mi ludzi, którym pieczone gołąbki same do ust wpadają, ale żał tych pracowników, którzy długimi latami trudu i wysiłku, zobaczyli się w posiadaniu krwawo nabytego grosza i zmarnowali owoc swej pracy jedynie dla tego, że, gdzieś tam, są okienka nęcące nadzieją łatwiejszego zarobku.

Warszawa się zabudowuje, przybywają mieszkania, a w miarę ich pomnażania się i ceny rosą w niezrozumiały zupełnie sposób. Już to trzy klęski trapią nasze miasto: drogość mieszkań, trudność znalezienia dobrych kucharek — w ogóle służby, jako też brak rzecznych kapieli.

Drogość mieszkań dla ludzi niezamożnych i ciężko pracujących na utrzymanie nieraz licznej rodziny, jest niemal pierwszorzędnego znaczenia. Z musu, liczne rodziny nawet, mieszczą się w trzech albo dwóch pokojach, zwykle wązkich i małych, niejednokrotnie wilgotnych! Powietrze jest ścięśnione, zapachy z sąsiadujące z temi pokojami kuchni napełniają wszystkie kąty, ścisk i zaduch, które oczywiście jak najjemniej na zdrowie mieszkańców wpływają. Głowa rodziny, pracująca na utrzymanie tejże rodziny, musi mieć swój kącik do pracy i odrobinę ciszy. Tymczasem ani tego kącika, ani pożądaną ciszę mieć nie może. Młodsza dziatwa musi harmidrować, bo jest to przywilejem ich wieku, starsza, do szkół uczęszczająca, uczy się głośno dla lepszego zapamiętania zadanego przedmiotu, fortepian bębni tuż zaraz, za ścianą słychać siekanie kotletów w kuchni, uwagi służącej przez gospodynię czynione, albo mitygowanie zbyt rozbrzykanych malców. Tymczasem głowa domu ślęczy pochylony nad papierami; mogą to być rachunki, mogą to być poprawki szkolne, jeżeli jest nauczycielem, może to być wreszcie praca literackiej wartości, tworzy plód ducha, pisany krwią i łzami. I wszystko to się robi przy takiej ciasnocie i gwarze takim.

Latem jeszcze pół biedy! Można otwierania okien daje przystęp świeżemu powietrzu i pewną ulgę pierśm zmęczonym — ale zimą, ale nocą, gdy drzwi i okna zamknięte być muszą, czem się to oddycha, jak się odżywiają płuca — ten tylko wyobrażenie mieć może, kto sam doświadczył tych przyjemności miejskich.

Mówimy i piszemy dużo o higienie, wymierzamy (na papierze) potrzebną ilość powietrza dla płuc ludzkich, zastosowujemy do tych wymiarów wysokość i szerokość mieszkań, dajemy tysiąc rad dobrych, — panowie kamienicznicy drwią jednak z tych wymagań higieny i cywilizacji, rok rocznie wyszrubowują ceny, że — albo na ulicę wynieść się potrzeba, albo ścięśnić się coraz bardziej, z uszczerbkiem zdrowia nie tylko fizycznego, lecz i umysłowego.

Powstała więc myśl pomiędzy pracownikami, najwięcej dającymi społeczeństwu, a najmniej otrzymujących od niego — przeniesienia się za rogatkę miasta. A jakkolwiek w śródmieściu koncentruje się ich praca — ułatwiona komunikacja za pomocą kolejek i tramwajów, da im możliwość wypełnienia sumiennie przyjętych zobowiązań.

Czy przyklasnąć tej myśli, czy poddać krytyce, — nie wiemy sami. Na pierwszy rzut oka, zdaje się, że zamiar ten może być z dobrym skutkiem wykonany. Pracujący w banku, redakcyi czy innej jakiegokolwiek instytucyi — może codziennie o godzinie wyznaczonej wyruszyć ze swojego podmiejskiego mieszkania, spełnić to, co do niego należy i wczas do domu wrócić, nie zważając na porę roku. Ale jeżeli ma dziatwę uczącą się w zakładach publicznych, jeżeli dziewczęta chodzą na pensje, albo na inne studia, choćby rysownicze czy do szkoły malarstwa, — czy taki spacer, milowy nieraz, nie utrudni zadania? czy podczas krótkich dni zimowych, powrót o zmroku, dziewcząt naprzykład, nie jest połączony z pewnem niebezpieczeństwem nawet? Policzywszy zresztą koszt roczny na tramwaje i kolejki — to wątpimy nawet, czy oszczędność — to lepiej będzie. Mówiliśmy już o tem z niektórymi projektodawcami, rozbieraliśmy *pro* i *contra*, lecz do ostatecznego wyniku nie doszliśmy; jest jednak pomiędzy nimi paru śmiałków, którzy pierwsi mają początek zrobić i wszelkie wynikające ztąd niedogodności czy dogodności na sobie spróbować.

Życzymy powodzenia, a kto wie, czy z związku tego kwiatu owocu nie będzie.

Kwestya kucharek może być łatwiej rozwiązana. Chodzi o to, że przy trudnościach w znalezieniu dobrej usługi, przy ciasnocie mieszkań, przy nieuniknionych zapachach kuchennych, i innych nieporządkach wynikających z tego domowego gospodarstwa — czy nie można uniknąć prowadzenia *u siebie* kuchni?

Niedawno byłem świadkiem rozpraw na ten temat prowadzonych pomiędzy paniami. Niewygoda gotowania obiadu w rodzinach niezamożnych, mieszczących się w dwóch albo trzech pokojach, przy służbie naszej, t. j. z pod ciemnej gwiazdy — staje się już nie niewygoda, lecz wprost męczarnią. Niektóre panie były zdania, ażeby *brać obiady* w mieście, lub do tanich kuchni uczęszczać. Ale rachunek z kredką w ręku nie pozwolił na tę kombinację. Bo, pomijając, że użyty tłuszcz w kuchniach tanich, może być bardzo podejrzanej dobroci z czego wyniknąć mogą nieżyty żołądek, katary kiszek i inne przypadłości — dla rodzin składających z siedmiu lub sześciu osób wydatek miesięczny byłby nadmierny. W kuchniach podobnych praktykowaną jest u nas zwykle średnia cena obiadu po kop. 30 od osoby. Wydatek więc dzienny na rodzinę złożoną z sześciu osób wyniesie 1 rb. 80 kop. Za taką cenę można u siebie w domu doskonały obiad zgotować, ale tu właśnie o cenę chodzi. Tymczasem kuchnia, czy utrzymujące stołowników osoby, w tych 30 kopiejkach mają zarobek czysty w sumie takiej a takiej, taniej zaś im każdy produkt przychodzi, bo mięso, warzywo i nabiał kupują hurtem i na targach z pierwszych rąk sprzedawców. U *siebie* więc — niewygodnie, w *kuchniach* — zadrogo. Jak wyjść

z tego labiryntu *kwestyi kucharnianej*, ażeby oswo-
bodzić się od prowadzenia kuchni w domu przy
minimum wydatków na przekarmienie się, któ-
re jest, bądź co bądź, warunkiem życia.

Rzucam myśl, której rozstrzygnięcie pozostawiam gospodarzom, niezadowolonym z kucharek i wynikających ztąd nieporządków.

Czyby naprzykład dane kółko rodzin, składające się, dajmy na to, razem z osób osmdziesięciu, nie mogłoby własnej, wspólnej wytworzyć kuchni? Obiad taki składkowy kosztowałby dziennie 20 kopiejek od osoby. Każda z osób zobowiązałaby się miesięcznie wnosić placę w summie (licząc miesięcznie dni 31) 6 rb. 20 kop. — czyli razem (od osób 80), wypadłoby miesięcznie 496 rb. co stanowiłoby rocznie okazałą sumę 5,952 rb. Za taką sumę można znaleźć jeden pokój z kuchnią, opłacić służbę i produkty potrzebne do obiadów, składających się z dwóch dań ale zdrowych i dobrych.

Teraz nasuwa się pytanie, kto stanie na czele kuchni podobnej? Odpowiedź łatwa. Obowiązek gospodyni musi przyjąć na siebie każda z pań kolejno, kolej zaś może być tygodniowa. Jeżeli w liczbie stołujących się rodzin, znajdzie się pań i pańien dwadzieścia sześć, to na każdą przypadnie *dwa tygodnie* w roku gospodarczego zajęcia. Trud mały a pożytek wielki. Oczywiście, że *zysk* wszelki musi być z podobnego prowadzenia kuchni wykluczony, albowiem nie o zysk tu już chodzi, tylko o wygodę *pozbycia się kuchni i kucharek w domu*. Kto zaś wie czy z czasem zakład podobny do poważniejszych nie doszedłby rozmiarów, i z czasem nie wytworzyłaby się poważna spółkowa instytucja *dobrego a taniego karmienia się*. Tym razem rzucam myśl, spowodowany, doprawdy słusznymi skargami pań naszych, na zapachy kuchenne, kłopoty z kucharkami, niemilem ujadaniem się z niemi, co często bywa połączone z innymi domowymi przykrościami.

Trzecią kłeską trapiącą Warszawę, to jest brak rzecznych kąpiel. A Wisła taka piękna, a w dni upalne takby się chciało nurtami jej się orzeźwić.

— Przecie łazienki mamy — powie może niejeden.

Ale jakie? Takich bud i dziur Warszawa wstydić się powinna.

„Nie mamy na myśli komfortu — powiada sprawozdawca „Z chwili“ w Kur. Codz. — chodzi nam jednak o najprostsze wygody i bezpieczeństwo, które każdy radby odczuwać, znajdując się w styczności z tak niebezpiecznym żywiołem jak woda.

Tymczasem jakie wrażenie robi na nas kabina, gdy się do niej dostaniemy? Robi ona po prostu wrażenie jakiejś tandetnie splecionej budy, ściany w niej są zazwyczaj pełne dużych szpar i otworów, podłoga rusza się przy stąpieniu, ze schodów prowadzących do wody często wysuwają się stopnie tak, że strach ogarnia, gdy się po nich schodzi.“

Zadnego Francuza ani Anglika do naszej łazienki wiślanej nie poprowadziłbym. Gdzie a gdzie to cywilizacja nad brzeg Wisły nie dotarła. — A czas by pomyśleć o tem — boć czysta i zdrowa kąpiel należy do codziennych potrzeb — tymczasem owe budy dziurawe, owe ciemne studnie, do których po drżących schodach się wstępuje — nie nęcą wcale.

Byliśmy na wystawie sztuki stosowanej do przemysłu pani Poświkowej. — Z prawdziwą przyjemnością przypatrywaliśmy się malowanym gobelinom i haftom, ale szczególniejszą uwagę naszą zwracaliśmy na meble.

Dotąd w salonach naszych panował i panuje styl obcy. Nic dziwnego — własnego nie wyrobiliśmy wcale, Enpiry i Ludwiki pozostawiały zatem ulubieńcami zamożniejszych jednostek.

Pierwsza Anglja otrząsa się z tego i wytworzyła styl własny, za nią poszli inni — my zaś, pozostaliśmy w tyle, na żadną oryginalność zdobyć się nie mogąc.

Zasluga więc jest pani Poświkowej, że, łamiąc się z różnymi trudnościami, te trudności zwyciężko pokonywa. Jakkolwiek jej meble przeznaczone do salonu czy do buduaru, brane są

częściowo z wzorów angielskich, jednakże dużo jest i oryginalnych pomysłów a ornamentyka stołów, kanapek, krzeseł i biur roślinami z flory rodzinnej nic do życzenia nie pozostawia. Rzucanie jednak powojów, słoneczników, maków i ostów, może stać się nużącym, jeżeli nie wprowadzimy różnaitości w zmianie przedmiotów do ozdób branych. W tym wypadku posłużyć może bogactwo rysunku „pisanek“ naszych. Motywy są tu tak bogate, że nie łatwo wyczerpie je fantazja mistrza. Pani Poświkowa wystawą swoją dała dowód, co może zrobić dobra wola i umiejętne wzięcie się do rzeczy. Nie dziwimy się przeto, że wszystkie prawie przedmioty na wystawie zakupione już zostały i radzibylibyśmy widzieć nasz salon każdy ubrany w meble stylu *swojskiego*.

??

SZCZĘŚCIE W ZAKĄTKU.

(Sztuka w 4-ach aktach Hermana Sudermana).

Gdzie się tego szczęścia nie szuka? a gdzie to szczęście znaleźć można?

Od mrocznych dziejów przeszłości, aż do czasów naszych ludzkość sobie pytanie to stawia — i nie znajduje odpowiedzi. Podają wprawdzie rozmaici moralisci i pisarze *minorum gentium* środki różne na zdobycie tego szczęścia, dużo przy tem słów pięknych i rad zdrowych się wyrzuca — gdyby jednak i zastosować się udało do tych nauczycielskich wskazówek, byłoby to szczęście wysnurowane dziwnie, bezprawnie noszące to wielkie miano, jakieś nieszczęśliwe szczęście.

Są głosy w piersi ludzkiej, są pragnienia w duszy człowieka, których przytłumić żadno rozumowanie nie zdoła; pogodzenie się zaś z rzeczywistością, z szarzyzną życia; obniżenie górnego lotu marzeń i pragnień aż do poziomu nizin ziemskich — jest w wielu razach, koniecznością, może, jest — może — zwycięstwem ujemnym ducha, ale tego się nie dokonywa bez złamań, ale to zgodzenie się musowe, do nazwy szczęścia prawa niema. Uśmiech nie dowodzi zadowolenia, jak i cierpienie i ból nie koniecznie znajdują wyraz w łzach i jęku.

Nie wierzymy więc w owe „zakątkowe szczęście“ szczególnie w sztuce Sudermana, który pierwszy z całą brutalnością niezważającego na nic śmiałka, odchyłał zasłonę, dotąd zawsze tak szczerlnie pokrywającą tajemnice życia rodzinnego; wydobywał ztamtąd męty i brudy i „gniazda rodzinne“ jako gniazda os nieraz przedstawiał, drwiąc niemiłosiernie z tradycyjnej powagi familji. Zdawałoby się że zrywając maskę obłudy z twarzy ludzkich i urzędów społecznych wiekami uświęconych, Suderman był w swoim żywiole nie zważającego na nic operatora, pomimo zgorzenia filistrów i obłudnych czcicieli „ogniska domowego“ — gdy zaś zapragnął w czystszej atmosferze się skąpać — potknął się w psychologii swojej, coś mu związało rozpęd potężnych skrzydeł, jakby łamał się sam z sobą i otoczeniem, które właczał przemocą w złote ramy obowiązków, wmawiając w niego i w siebie że mogą być szczęśliwi, że — są nawet szczęśliwi. Prawda życia nie zna kompromisów żadnych, i — jeśli ludziom żyjącym nie daje pożądanego spokoju, postaciom do życia przez pisarza powołanym, nadaje zabarwienie sztuczne, w widzach, zaś, patrzących na nie, tworzy nieufność, mimo woli daje się im ucywiać brak prawdy, i — choćby chcieli uwierzyć w możliwość szczęścia, logika wypadków zszeptać będzie: a jednak w życiu inaczej by było!

Niektórzy z krytyków niemieckich w tem „szczęściu“ Sudermana zaczęli dopatrywać się upadku jego talentu. Nam się zdaje, że to jest tylko pewne nieoswojenie się z nowowpro-

dzonemi typami, z nowemi *duszymi*, że tak się wyrażę. Przyszłości jednak przesądzać nie można — zajrzyjmy lepiej do tego „zakątka“ gdzie przytulisko znalazło szczęście ludzkie.

Smutną młodość miał Wiedeman, dyrektor trzyklasowej szkoły gminnej. Siedząc na ławie szkolnej, uczył się dobrze; w uniwersytecie, tak jak każdy z młodzieńców, marzenia miał bujne, koledzy i nauczyciele widzieli w nim talent duży i świetną wróżyli przyszłość. Lecz rojenia wszystkie, wszystkie nadzieje, rozbiły się o chleb powszedni. Bieganie za lekcyami, źle zresztą wynagradzanemi, nie przyczyniało się do budowania gmachu przyszłości, a gdy, po ożenieniu się, pomnożyły się troski domowe, gdy troje dzieci, jedno po drugim, zakwiliło w kolebce — kłopoty o byt rodziny przysypały wszelkie sny dawne; bieda wesła drzwiami, miłość oknem uciekła, utarczki z żoną stawały się coraz częstsze, a dobitkę wszystkiego, córka, najstarsza z dzieci, ślepotą dotknięta została. Inni współkoledzy jego mniej zdolni i mniej pracowici, powychodzili na ludzi, mówiąc utartym wyrażeniem — zajęli profesorskie katedry i inne dochodne stanowiska w świecie; on, złamany życiem, bez wiary w przyszłość, zagrzebał się z żoną i dziećmi w ciszy wiejskiej, ciesząc się dyrektorstwem średniej szkoły gminnej.

Po śmierci żony, sam musiał czuwać nad wychowaniem drobiazgu.

Doskonały to typ człowieka, który w życiu nie miał szczęścia, który już nie od tego życia, prócz ciszy, ciszy i ciszy nie wymaga. Umysł, niegdyś lotny, stępił się i ocieżał w jarzmie codziennej pracy, z łagodnym niedowierzaniem uśmiechem, słucha tych, którzy mówią, o jego dawnych a wielkich zdolnościach, on wie dziś tylko, że serce ma uczciwe, że wychowując dzieci swoje i obce, spełnia z zaparciem się wszystkiego posłannictwo od Boga mu dane. Jestto piękna ruina wielkich marzeń, dawnych pragnień, snów — nad którą burze przewiały, aż zostawiły ją w bezdennym jakimś spokoju.

Niedaleko szkoły gminnej stał pałac barona Röcknita, przy którym niegdyś Wiedeman pełnił obowiązki gubernera. Baron, to wymieniony typ junkra pomorskiego, jeden z tych, który Bismarków wytwarza. Młody, bujny, nie mający w słowniku swoim wyrażen: nie wolno! albo: nie mogę! — jest związany węzłem małżeńskim z kobietą cichą, potulną i uczuć delikatnych. Nie więc dziwnego, że brutalnie opanował ją zupełnie i popychał swoim zrobił. W całej zaś postaci swojej miał urok jakiś męski, pociągający kobiety; wprost łamał je nieugiętą wolą swoją, hipnotyzował potęgą tej woli, a wiadomem jest, że kobiety kochają siłę i siłę z rozkoszą się poddają. Tej brutalnej potędze uległa i piękna Elżbieta, daleka kuzynka barona, zubożałe dziecię arystokratyczne, niegdyś magnackiej rodziny, o duszy wielkiej i myśli jak kryształ czystej; uległa sercem, ale nie ciałem; rozkochała się w baronie, lecz daleką była myśl od niej, odciągnięcia kochanka od obowiązków rodzinnych, wejścia w prawa, prawej żony barona. To też Bettina, z ufnością zwraca się do Elżbiety i znając donjuanstwo swojego męża, uległość kobiet zachciankom jego: — „ty jedna nie ukradłabyś nigdy cudzego szczęścia“ — mówi. Taka kobieta, jak Elżbieta, może cierpieć, lecz nie uczyni podłości. Męczeńskie więc jest życie na zamku barona, niedającego jej spokoju; musi walczyć z miłością, czuje się rozbita, pragnie gdzieś uciec, bo walka jest trudna, a zwycięstwo — konieczne.

W tej krytycznej chwili jej życia przybywa na zamek w odwiedziny do dawnego ucznia Wiedeman. Dwie dusze rozbite spotykają się, łączy ich cierpienie ukryte lecz przeczucwane wzajemnie. Wiedeman otrzymał przyrzeczenie Elżbiety i żeni się z nią.

Po kilku latach pożycia widzimy rodzinę Wiedemanów oddaną cichemu szczęściu w zakątku szkoły gminnej. Gospodarna Elżbieta, zapobiega wszelkim niedostatkom domowym, gospodarstwo rolne prowadzi sama, jest cisza, spokój; pasierbowie otaczają ją miłością wielką, mąż ubóstwia, choć duszę jego nurtuje robak niepe-

wności, czy — ta ukochana jest szczęśliwa... Nie może opędyć się myśli, że Elżbieta zatęskni do świata z którego wyszła, i odejdzie od niego. Z tą myślą oswaja się, tak, że ten smutek zdaje się mu już nie ciążyć, choć przypuszczenie zamienia się prawie w pewność, gdy dr. Orb nadinspektor rzuca pytanie nauczycielowi w jaki sposób on pozyskał serce kobiety z innej sfery, czy ten zakątek może wypełnić jej życie, jej, przyzwyczajonej do ludzi innych, do otoczenia innego? Te pytania są męką dla biednego Widemana — on zaprzeczyć mi nie może. Upewnia go w tem i cichy smutek Elżbiety, choć się wypiera tego smutku.

Sztuka rozpoczyna się od tej wizyty nadinspektora. Po chwili przybywa baron i w rozmowie z Wiedemanem rzuca te same myśli. Biedny nauczyciel na tortury wzięty, potwierdza tym domniemaniami, ale punktu wyjścia nie widzi. Wtedy baron, chcąc mieć przy sobie Elżbietę, proponuje Wiedemanowi, porzucenie bakalarstwa, a objęcie w zarząd dóbr jego. Nauczyciel wymawia się, — on i gospodarstwo? Röcknitz — nie daje za wygraną — „jeżeli nie dla siebie to dla niej to zrób! — nie tylko o tem jej nie mów, ja ją przygotowuję do tej zmiany życia.“

Dla niej Wideman wszystko uczynić jest gotów. Zgadza się więc na propozycję barona, który rozszalały, wymaga wręcz od Elżbiety poddania się jego woli. Kobieta walczy z niewystyglę jęszcze uczuciem, kusiciel podsuwa jej myśli obrazy niedawno minionej przeszłości, chwile marzeń i rozmów wspólnych. Czar wspomnień otacza ją; w zapomnieniu chwilowem wyciąga ku niemu ramiona i — toną w pocałunku. Ale to trwało chwilę! — Elżbieta budzi się silna i odpycha kochanka.

Potomek Raubritterów nie odchodzi łatwo. „Kocham — mówi — i ty kochać *musisz!*“ Daje jej godzin parę do namysłu — wieczorem musi dać stanowczą odpowiedź: tak! A jeżeli: nie! zabrzmi — on nie zawaha się przed użyciem broni okrutnej, ale stanowczej.

Fatalny wieczór nadchodzi, Elżbieta unika zostania sam na sam z baronem. Od Bettiny dowiaduje się o propozycji barona zrobionej jej mężowi. Teraz dopiero wie do czego dąży baron. Ona ma zostać jego — kochanką! — To niktzemnie! — Czas naznaczony przez barona upływa — z ust Elżbiety pada stanowcze: nie! a wtedy junkier pruski wspomina przy zgromadzeniu całym do swojemu pochodzeniu od rozbójniczych baronów niemieckich, którzy „piers w pierś, oko w oko“ stawali przed podróżnymi i odbierali im ich własność. Na wargach jego waży się słowo, które ma gromem paść do stóp Wiedemana, że usta Elżbiety na jego ustach spoczęły. Tę chwilę uprzędza nieszczęśliwa ofiara zapomnienia, „zgodzam się“ mówi szeptem i baron w żart zamienia niezrozumiałe przez obecnych słowa.

W szkole gminnej jest drugi nauczyciel Dangel, który kocha ślepą córkę Wiedemana i właśnie tego wieczoru prosi o nią Elżbietę. Elżbieta oddaje mu ją i błaga o opiekę nad biednym dzieckiem, bo, bo — kto wie, czy nie zostanie sama, bo, ona, Elżbieta — może usunąć się, zniknąć. Te słowa napełniają trwogą Dangla, pocałunek przez Elżbietę złożony na jego, czoło, jest jakimś ostatniem pożegnaniem. Nie waha się niepokoju swego powiedzieć przed Wiedemanem, który w tych słowach widzi postanowienie Elżbiety opuszczenia domu jego. Zostawszy sam, czeka na ucieczkę żony. Elżbieta przechodzi sam, czeka na ucieczkę żony. Elżbieta przechodzi w chustkę, ale twarz jej o czemś straszniejszym mówi. „Uciekasz — dla czego? od kogo?“ — pyta Wiedeman. Kłamstwo nie splamiło nigdy jej ust — więc mówi: — „tak, jak do ciebie uciekałam od tego człowieka, nocującego tam! tak i dziś od niego uciekam — do rzeki.“ Rzec się wyjaśnia — nie przeraża to jednak Wiedemana, który jej puścić nie chce od siebie. Jak to? zatrzymujesz mnie, splamioną pocałowaniem? I następuje spowiedź za spowiedź. „Wziąłem ciebie — mówi Wiedeman — będąc przekonany, że jesteś ofiarą podłości. Dziś ten grzech mały łatwo przebaczyć potrafię. Zostań — z tamtym poradę. Mojej młodości wrócić ci nie mogę. Ale

i twoja zgaśnie z czasem... Pragnienia się ucisza, tęsknota zaśnie... Ograniczać się w swych zachceniach musi nawet najszczęśliwszy człowiek. I kto wie, może tam kiedyś szczęście zabłyśnie w naszym starym zakątku.“

To rozczuła i rozbraja Elżbietę.

— Tak mi się zdaje, jakbym ciebie po raz pierwszy ujrzała — mówi.

I na tem koniec dramatu — w chwili, kiedy właśnie dramat jest w pełnym rozwoju.

Elżbieta chciała się zabić. Samobójstwo to jest usprawiedliwione płataniną wypadków. Ratuje ją mąż, a choć mówi o szczęściu, w szczęście to już nie wierzymy, bo potomek zbójów niemieckich nie zaśpi sprawy i potrafi oko w oko spojrzeć, pierś przeciw pierś stanąć.

Dramat nierozwiązany.

W jaki sposób poradzi sobie stary Wiedeman z bezczelnością i brutalnością barona?

Tu katastrofa śmierci jest konieczną.

Takie dusze, jak Elżbiety, giną, ale się nie poddają, ale się nie godzą na budowanie szczęścia, którego podstaw nigdzie nie widzimy. Jest to świetny zarys wielkiego dramatu, przerwany w środku — autor chciał gwałtem uszczęśliwić ludzi i — popsuł wszystko. Są serca i serca, są dusze i dusze. Filisterskie szczęście nie zaspokoi duszy i serca takich Elżbiet. One się łamią, lecz się nie godzą z życiem — cierpią w milczeniu, lecz to cierpienie je zabija. Dramat ratuje świetna charakterystyka głównych postaci — dokonywa reszty mistrzowska gra Rapackiego, Żelazowskiego i p. Marczełło.

Kazimierz Gliński.

Kazimierz Gliński.

KRZYWDA.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

XXII.

Grająca na obłoku.

Hipolit wrócił do domu. Wzburzony był i jakimś wewnętrznym bólem targany. Nie zaszedł nawet do Sochackich, bo czuł, że nie mógłby ukryć wzruszeń, jakich doświadczył, a znając ich przywiązanie do siebie, wiedział, że przykroś by im sprawił, nie mogąc wypowiedać się z tego, co mu dolega.

Sawko rozpalil ogień na kominie i wyszedł; przez okno do pokoju pana Hipolita zajrzała parę razy Maryanna. — turkot powozu z wiadostaw powrót pani Karoliny z Grudowa, lecz on nie spostrzegł ani buchających iskier płomieni, ani odbitej na szybie ciekawej twarzy pokojówki, ani zachwyił uchem znajomego turkotu kół karety — zakreślał tylko elipsy w krąg stołu, pogrążony w niemiłych dumaniach.

Czego się dotknął, wszystko się rwało haniebnie: w sercu matczynem nie rozbudził cieplejszych dla siebie technień, panna Matylda — odeszła, dziś usunęła się — Tosia.

Na Tosi okrutnie się zawiódł...

Czy on chciał jej miłości?

Przenigdy! o tem nawet śnić nie mógł, podobna myśl nie zrodziła się mu nigdy w głowie. Gdyby nawet serce było nieposłuszne woli jego rozumu, potrafiłby mu nakazać milczenie. Lecz on nie myślał o tem, a w postępowaniu Tosi widział tylko siostrzane uczucie, wierzył silnie, że ona będzie złotem ogniwem rozerwanego łańcucha stosunków rodzinnych. Zdawało mu się,

że ją to właśnie wybrała Opatrzność na dobrego anioła pokoju i dla tego tak sercem przylgnął do niej i tak braterskim ukochał uczuciem, a ona o pierś jego oparła czoło rozpalone, zionęła żarem krwi i chciała splonąć w uściskach namiętnych.

Wzdrygnął się.

Mimowoli myśl jego pobiegła do Grudowa i zatrzymała się przy Henryku.

Henryk dotąd mociuje się z niezdecydowaną jakąś chorobą. Dzień lepiej, dzień gorzej. Lekarze widzą upadek sił, zalecają spokój i dobre odżywianie się. Tosia się nudzi... i — Bóg wie, co jej strzeliło do myśli. Szalona głowa — szalone serce... a on za ostry może sąd wydał o niej.

Tłomaczył, jak mógł, jej postępek, czekając na posłańca, któryby mu przywiózł list z wezwaniem, by przybył.

Ale minął tydzień jeden i drugi — z Grudowa żadnej wieści nie było. Zapomniano o nim zupełnie.

I znów popłynęły dni jednostajne i długie.

Codziennie karetka pani Karoliny zajeżdżała przed ganek i toczyła się gościńcem, prowadzącym do Henrykowej siedziby. Matka nie zachodziła już do Hipolita i nie wzywała go do siebie. Spotykali się wypadkiem; gdy witał ją, zimnych ust jej nawet na czole swoim już nie czuł. Zapytywał o zdrowie brata, co bratowa porabia, i dowiadywał się, że Henryk ma się lepiej, Tosia nudzi się trochę, a książe Ryszard coraz częstszym gościem bywa w Grudowie. Ta ostatnia wiadomość, powtarzana przy każdym zapytaniu, niemile dotknęła pana Hipolita.

— Czy nie za częste te odwiedziny? — rzekł raz do matki.

— Co za pytanie! — wybuchnęła pani Karolina. — Wiesz dobrze, że wiarołomstwo nieznanne jest w rodzinie Grudowskich.

— Nie rozumiała mnie mama. Ja tylko pytam, czy Henrykowi to się podoba. Chory jest — potrzebuje może więcej spokoju.

— Po pierwsze: Henryk nie jest chory, po wtóre: nie znasz Tosi!

Hipolit nic nie odpowiedział, przygryzł tylko lekko wargi.

Dni stawały się coraz krótsze, coraz dłuższe wieczory. Choć słońce jasnymi promieniami oblewało ziemię, poranki już były chłodne, a przymrozki rosę na trawach w szron ścinały. Hipolit, jak zawsze, każdą wolną chwilę od zajęć u Sochackich przepędzał. Coraz wyraźniej czuł rękę przeznaczenia, prowadzącą go do nich, — u nich tylko znajdował prawdziwą przyjaźń i to ciepło, którego daremnie gdzie indziej szukał. Jak dawniej zapominał o Hajczyńcach, tak teraz Grudów usunął ze swojej pamięci.

Zachodząc teraz do Sochackich, pytał:

— Jakże się mają *moje* dzieci?

Razu pewnego wyjechał konno do Piasków przyrzec się postawionemu już domowi. Nie wiele brakowało do końca, ale zbliżająca się zima ostatecznemu wykończeniu na przeszkodzie stawała. Wracając przez lasy dziadyszowskie, na zakręcie drogi spotkał Tosię w towarzystwie księcia Ryszarda.

Sklonili się i pojechali dalej.

Pan Hipolit dał ostrogę koniowi i pośpieszył do Grudowa odwiedzić brata. Rad był, że nie zastanie pani Teofili, konia oddał spotkanemu w bramie wjazdowej służącemu, a sam pieszo udał się do pałacu.

— Gdzie pan? — zapytał wychodzącego na spotkanie lokaja.

— W gabinecie z panią starszą.

Poszedł na górę.

Pokoje wysłane dywanami kradły szelest kroków idącego. Pani Karolina ani Henryk niespodziewali się gościa, rozmawiali więc głośno, tak że wyraźnie ich słowa dochodziły do uszu zbliżającego się Hipolita.

— Widzi więc mama, że dochody moich majątków nie pokryją wydatków na życie, jakie zamierzamy z Tosią prowadzić. Dziesięć tysięcy florenów, jako procent od posagu Tosi, to kropla w morzu. Przyznałem się mamie do długów, porobionych za czasów kawalerskich, teraz gdy lasy pójdą, gdzie znajdziemy nowe źródło

dochodów? Do gospodarstwa się nie mieszam, nie znam się zresztą na tem, oficjaliści kraść muszą, a może i wydajność ziemi zmniejszyła się. Wspominała mi mama, że rok bieżący dał Hipolitowi dwadzieścia tysięcy czystego zysku, a oto ja z Grudowa i Dziadyszek i sześciu tysięcy nie mam. Prawda, że Hipolit jest wołem i umie w jarzmie chodzić.

— Cierpliwości, Henryku!—odrzekła pani Karolina—Piaski i Górki twoje być muszą!

W tej chwili wszedł Hipolit, nie chcąc być świadkiem rozmowy dalszej.

W gabinecie zapanowała cisza.

— A—witaj Hipociu!...

— Jakże się czujesz?

— Lepiej, z każdym dniem lepiej... Lekarze tylko każą mi pod koniec zimy wyjechać do Meranu, bo klimat tutejszy mi nie służy. Zastanawiam się właśnie czyniącego przed mamą rachunek sumienia. Przeraża nas ogrom wydatków, chcielibyśmy dom na innej stopie postawić, wrócić świetność dawnych czasów, ale to trudno!

Machnął ręką.

— Co ty nazywasz świetnością?—zapytał Hipolit, siadając naprzeciw brata. — Czy służbę w herbowej liberyi? czy obiady dla pasibrzuchów wydawane? czy...

— Dobrze ci tak mówić!—przerwał Henryk—tobie, który spoczywasz na różach.

— Ja—na różach! — zaśmiał się smutnie Hipolit.

— Robisz pieniądze.

— Oddałbym ci Górki i Piaski za małe nawet szczęście!

— A ja mam je?—zapytał Henryk.

— Zdaje się, że nie masz prawa tak mówić... Usłałeś już sobie gniazdo rodzinne—pilnuj je teraz i nie pożądam niczego więcej.

— Zapewne, mam Tosię, drogą, kochaną Tosię. To też właśnie chciałbym jej życie różami usłać, a do tego — nie śmieję się! — pieniądze są potrzebne!

— Ty—widzę—chcesz za dużo pieniędzy. Nie możesz żyć jak Radziwiłł, żyj jak Hipolit. Jeżeli ci są ciężarem mury tego pałacu, to rozbierz go, materyał sprzedaj, a postaw sobie dom drewniany o czterech pokojach.

— Dosyć!—przerwała pani Karolina, czerwona z oburzenia. — Tybysz kości praocjów sprzedał za pieniądze!

Zapanowało przykre milczenie. Henryk bębnił palcami po stole, Hipolit wstał i pożegnał brata.

Nie chcąc spotkać się z Tosią i księciem Ryszardem, do Górek wracał przez pola na przełaj.

Tosia, dowiedziawszy się o wizycie Hipolita, przygryzła tylko wargi. Domyśliła się łatwo, że spotkawszy ją w lesie, skreślił umyślnie do Grudowa, by, odwiedzając brata, uniknąć z nią spotkania. Na wiadomość o tych odwiedzinach, wzruszyła ramionami, a gdy Henryk pytał o powód widocznej niechęci, odpowiedziała:

— Już to przyznam ci się otwarcie, że zbyt zabawnym twój braciszek nie jest!...

Henryk półgębkiem bronił brata, ale pani Karolina podzielała zapatrywania Tosi; od chwili zaś, gdy pan Hipolit o zbyt częstych wizytach księcia Ryszarda i rozebraniu grudowskiego pałacu wspomniał, nienawiść swoją do ostatnich posunęła granic.

Pani Grudowska w wysokiej czci zawsze miała niepokalaną gniazda rodowego. Zimną i obojętną była dla s. p. Janusza, zimnem i obojętnością zmroziła jego serce i życie zuroków wszelkich odarła — lecz przeniebierstwo tak zawsze daleko było od niej, jak dziś dalekie było wszelkie tkliwsze uczucie dla starszego syna. Kochając Henryka, kochała i Tosię i nie przypuszczała myśli tak wstrętnej, jaką jej śmiał Hipolit podsunąć.

Mrok zapadł, gdy Hipolit powrócił do siebie. Na folwarku już się świeciło i okna mieszkania Sochackich oświetlone były. Grudowski spostrzegł zdaleka jakąś czarną sylwetkę, zaglądną do wnętrza, znikła jednak szybko, prawdopodobnie spostrzegłszy nadjeżdżającego. Oczywiście, była to Maryanna.

Hipolit głową poruszył.

— Oby prędzej w Piaskach dom skończył! — szepnął — przeniosę się tam zaraz i Sochackich wezmę do siebie. Codziennie będzie mnie budził szczebiot dzieci, pieściła ucho nieuczona, lecz z serca płynąca muzyka Basieczki—stworzę sobie świat zupełnie nowy, odrodzę się, odżyję, odetchnę szczęściem innych, a nawet...

— Tak! czy nie miałbym prawa usynowienia wnuczka Sochackiego?

Poszedł do gabinetu i usiadłszy przy biurku, wziął się do jakichś rachunków, ale wnet książkę cisnął i przechadzać się zaczął. Nie zadowolniła go i przechadzka — zapalił świecę i udał się do salonu...

Nagle cicho odezwały się struny fortepianu... Hipolit stanął.

Zdaje się, że nie tracił sprzętu, a struny zadzwoniły i zamilkły...

Dźwięk tych strun i umilknięcie ich ciche coś przypomniło mu oddalonego bardzo. Było to po wizycie państwa Rybów... nie! po pierwszym balu w Hajczyńcach. Był sam—jakieś marzenia się snuły; głupie serce roilo jeszcze o czemś... Opuścił rękę na fortepian, i odezwały się tak samo struny i w słuch jego przedziwną uderzyły melodią. Chce ją dziś przypomnieć—ale daremny wysiłek — przeszło i to i utonęło w jakimś morzu ogromnej ciszy.

Westchnął, postawił świecę i zaczął się przechadzać wzdłuż i wszerz salonu.

Przed jego pamięcią przesunęła się panna Matylda... później okropna scena w Zaleszczyńskim młynie—później Tosia—przejażdżka z nią... namiętny szept jej słów...

Zbudził się.

Do salonu zajrzał Sawko.

— Co tam?—zapytał Hipolit.

— Czy pan herbatę tu pić będzie, czy do Sochackich pójdzie?

— Do Sochackich.

Sawko znikł, a pan Hipolit zaczął się dalej po salonie przechadzać.

Godzina była już późna, gdy z ciężkich obudził się marzeń. Sochaccy musieli herbatę wypić, ale z wieczera czekać będą. Na wieczór jednak zawczasie.

Zgasił świecę i wyszedł do ogrodu.

Drzewa wszystkie już były ogołoczone z liści, aleje i gazony niemi pokryte, nagie konary na rozjaśnionem przez księżyc tle nieba tworzyły sieć fantastyczną, na ziemi krzyżowały się cienie, to snuły się blaski miesięczne.

Nagle zdało się Hipolitowi, że cicho, bardzo cicho odezwał się gdzieś fortepian. Zrazu myślał, że to złudzenie słuchowe, ale nie — dźwięki biegły, choć przez odległość stłumione, ale tak wyraźne, że mógł odróżnić akord od akordu, ton od tonu.

Zatrzymał się i słuchał.

Ktoś grał, a grał coś mu tak dobrze znajomego. Zdawało mu się, że słyszy muzykę płynącą z ogromnego oddalenia, cichą, senną, jakby z marzeń i westchnień splecioną. Brzmiała pieśń niezrównanej piękności, czasem o sile olbrzymiej, rozdzierająca skargą bezdenną. Dźwięki się rozbiegały i znów się łączyły, rozsypywały się jak sznur pereł, aż zaczęły cichnąć i tonać...

— To moje arcydzieło! — zawołał. — Pieśń, wyśpiewana niegdyś przeze mnie—zapomniana, dziś przypomniana znowu.

Zaczął iść szybko, kierując się na dźwięki muzyki...

— Co to jest?... to w saloniku Sochackich odzywa się fortepian... Czyżby to pani Barbara grała?...

Przyspieszył kroku, przebiegł sieni i drzwi do pokoju otworzył...

Usłyszał hałas dzieci... Dźwięki się urwały, a ktoś zerwał się szybko od fortepianu...

— Ujek—Malynia! ujek — Malynia!—wołała dziatwa.

— Co? co? mówcie wyraźniej, bo nic nie rozumie...

— Malynia! Malynia!... o — paćś ujek—Malynia!...

I skakały jak na sprężynkach, chwytając pana Hipolita za ręce i ciągnąc do stojącej przy

fortepianie Maryni. Dziewczyna skłoniła się i oblała rumieńcem.

Władek chwycił siostrzyczkę za spódnice i pociągał do pana Hipolita...

— Chodź, chodź—to ujek!...

— Władku! pan dziedzic będzie się gniewał—mitygując malca, odezwała się Marynia.

Grudowski zbliżył się do nieznanjomej.

— „Ujek“ nie gniewa się nigdy—rzekł—umie tylko pieścić i kochać to maleństwo.

— Widziś!—odezwał się Władek.

— Babcia mi mówiła już o tem—zaśmiała się Marynia.— Wszystkie zresztą listy pisane przez nią do mnie, były przepelnione pochwałami. Ja z listów dziadka i babci znam pana dobrze.

Mówiła głosem srebrzystym, zmieszana nieco i zarumieniona. Wilgotne, korалowe usta złoto-włosej dziewczyny drżały trochę, a oczy smutne, do dwóch dużych fioletów podobne, przykrywały się kiedy niekiedy długimi a ciemnymi rzęsami.

— Jakże się pani tu zjawiała, że nie wiedziałem nic o tem?—zapytał Hipolit.

— Z kolei przyjechałam wprost do dziadków.

— Nie uprzedzając ich nic o swoim przybyciu?

— Tak, panie.

— Chciała nam zrobić niespodziankę—wtrąciła Sochacka.

— Najęła żydka, który zdarł z niej dwa ruble—dodał Sochacki.

— Zidka, o to fulman!—wtrącił Władek.

— Niechże dziaduś wnuczkę wygderze za to—rzekł Grudowski. — Mogła przecie panna Maryna napisać słów parę i zażądać koni.

— W taki sposób przyjazd mój nie byłby niespodzianką.

— A pani myśli, że tak bardzo dziadostwo oczekiwali na panią? — zażartował Hipolit. — Dziadek to jeszcze, ale babcia...

— O, o, panie dziedzicu! co też pan powiadał! Gotowa doprawdy pomyśleć, że ja nie tęskniłam za nią.

— A nie!—upierał się pan Hipolit.

Marynia zaśmiała się i całować zaczęła babkę, która, przytulając jej głowę do swojej piersi, pieściła się złocistymi warkoczami dziewczyny.

— Mój Boże! — westchnął pan Hipolit — cóż teraz dla mnie zostanie? Pani zupełnie odbierze mi serce babci, którego cząsteczkę ukradłem dla siebie...

— Nieodda mi już babcia całego serduszka—odpowiedziała Marynia — pan oddawna połowę jego wziąłeś.

Głos Maryni, jakby z dźwięcznego metalu ulany, przedziwną harmonią uderzał o uszy pana Hipolita; główka jej, otoczona złotą koroną warkoczów, spoczywała na szyi ślicznej, przepasanej aksamitną czarną, u której malutki, złoty zwieszał się krzyżyk, a fioletki oczu, choć patrzyły przez łzy, były pogodne, jak niebo. Hipolit patrzył na Marynię, i mimowoli w myśli stanęły mu dwie postaci, które zaważyły na szali jego życia: Matylda i Tosia. Pierwsza przykuwała do ziemi i rozbudzała zmysły, druga wabiła pokusami rajskich ponęt i w piekło zawieść chciała, a oto ta trzecia — odrywała myśl od nizin, choć ziemskich nie była pozbawiona uroków.

Pan Hipolit nie mógł oczu oderwać od Maryni; serce mówiło mu: „to ta, o jakiej marzyłeś!...“ a on odpowiadał: „to ta, do której jeśli przylgnę duszą, nie oderwę już jej, choćbyś tego chciała, ty—moja matko!...“

I uczył coś, jakby ważenie się losów swoich, jakby się zbliżał do ostatniego rozdziału książki, skreślonej ręką niecofniętych przeznaczeń.

— Nie powitałem jeszcze pani — odezwał się po chwili, wyciągając dłoń do Maryni.—Z zapoznaniem się wzajemnem nie dużo kłopotu mieć będziemy, bo dziadostwo już nas z sobą poznałomili oddawna. Pani wie, że stałem się wujkiem Władka i Staszka, że z dziadkiem pani kochamy się potężnie, a z babcią kłócimy się za-wzięcie. Jak tam będzie z panią, nie wiem jeszcze: może kłótnia, jeżeli pani ma do niej usposobienie, czego jednak dostrzedz nie mogę; może miłość—dodał z uśmiechem—jeżeli pani serduszka nie zostawiła w Warszawie.

— Nie, paniel—odpowiedziała Marynia.

— To dobrze, to bardzo dobrze—podchwycił szybko pan Hipolit, porywając obie ręczki dziewczyny. — Postaram się rozkochać panią, a mam nadzieję, że babcia nie odmówi mi swojej pomocy.

— Oczywiście—śmiała się Sochacka, a Marynia szkarłatnym oblała się rumieńcem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Opera warszawska staje się w dobie najświetszej instytucją artystyczną wysokiego poziomu. Energiczny jej kierownik, reżyser i utalentowany artysta, p. Józef Chodakowski, rozwija wszystkie środki, jakimi rozporządzać może i odtwarza dzieła w sposób niepospolity. W swoim czasie rozpisywaliśmy się szeroko o wznowieniu „Hrabiny,” która dziś należy do najwspanialszych oper repertuaru i pociąga zawsze tłumy. W sezonie bieżącym na scenę Teatru Wielkiego wprowadzono bardzo piękne dzieło Czajkowskiego, p. t. „Eugeniusz Onegin.” Operę wystawiono z przepychem u nas niebywałym i wykonano z niepospolitą maestryą. O tem istotnie wartościowym dziele, o interpretacji i wystawie pragniemy szersze skreślić uwagi.

Piotr Czajkowski, najzdolniejszy kompozytor rosyjski, posiadał talent potężny i umiał bardzo wiele. Inwencja jego muzyczna była genialna prawie, melodie płynęły swobodnie w charakterystycznych, oryginalnych nieraz rytmach, opracowanie szczegółów i całości przepiękne. „Liryczne sceny” (jak dzieło swe sam Czajkowski nazwał) osnute są na znanym poemacie Puszkina: „Eugeniusz Onegin.”

O prawdziwej, namiętnej miłości dla kobiety jest tam mowa, o marzycielstwie i płochości również. Tę miłość, i śmierć z ręki przyjaciela i płochość odtworzył pięknie Puszkina w swoim poemacie, rozwinięty w „Eugeniuszu Oneginie” obraz wiejskiego życia towarzyskiego na początku bieżącego wieku w Rosyi. Widzimy tam z jednej strony marzycieli, z drugiej — ludzi nieużytecznych dla społeczeństwa, obojętnych na wszystko; wcieleniem takich osobników jest „Eugeniusz Onegin.”

Z pięknego poematu Puszkina, zaczerpnął Czajkowski, znakomity kompozytor rosyjski, treść do libretta dla swoich „scen lirycznych,” luźno powiązanych w akcję. W scenach tych zaginęły piękności poematu i jego cechy charakterystyczne pozostał zaś tylko wątek intrygi miłosnej, wyśpiewany przez mistrza muzyki rosyjskiej z wielkim prawdziwym talentem — Do bogatej wdowy Lariny przybywają dwaj młodzi ludzie: poeta Lenski, narzeczony starszej Olgi, i jego przyjaciel Onegin. Młodsza siostra Tatiana, dużo czytała romansów i główkę sobie niemi rozmarzyła, myśląc ciągle o idealnej miłości. Kiedy poznała Onegina, nie przestaje o nim marzyć, a miłość swoją w liście mu wyznaje. Onegin jednak Tatiany nie kocha, choć chętnie z nią rozmawia i jedwabnymi pieści słówkami. Co gorzej, budzi zazdrość w sercu Lenskiego podczas balu (akt 2), gdyż chce na nim wyrzeć gniew za to, iż go w nudne wprowadził towarzystwo. Lenski się oburza i wybucha; przychodzi między przyjaciółmi i do kłótni, w której poeta wzywa na pojedynek Onegina i z ręki jego ginie.

Po pewnym czasie spotyka się w Petersburgu Onegin z Tatianą, która wyszła za mąż za księcia Gremina. Onegin widzi Tatianę na balu w ambasadzie i uczuwa ku niej miłość namiętną, błaga więc ją o posłuchanie i przebaczenie, lecz Tatiana, wierna obowiązkom małżonki, choć

w głębi kocha Onegina, odtrąca go jednak... I na tem opera się kończy.

Ścisłe rzecz biorąc, w operze Czajkowskiego bohaterką jest Tatiana, reszta zaś osób, nie włączając Onegina, drugorzędną odgrywa tam rolę. Poeta Lenski szybko usuwa się z widowni, rażony kulą przyjaciela w piersi.

Na tle tem Czajkowski rozwinął swoje pomysły muzyczne bardzo efektywnie i pięknie. Bogactwo melodyi, kunsztownie opracowanej w formy neo-romantyków niemieckich, błyszczą wszystkimi barwami i wywiera rzeczywiste wrażenie. „Eugeniusz Onegin” wyszedł z pod pióra Czajkowskiego w r. 1879; a niedawno, usłyszeliśmy to dzieło po raz pierwszy w teatrze Wielkim, ze współudziałem pierwszorzędnych sił artystycznych. Opera odznacza się nader poetycznym wyrazem i szlachetnością harmonii, która pieści ucho i usposabia do rzewnego nastroju. Liryzm przeważa tu zupełnie i dominuje nad dramatycznością, ten liryzm rozlewa się po całym dziele, nadaje mu oryginalne piętno ujmującego wdzięku. Scena z listem np., albo końcowy duet Tatiany z Oneginem trafia do serca i przenika do głębi słuchacza. Motyw zaś elegijny wstępu maluje marzycielski nastrój Tatiany i powraca wtedy, gdy należy marzycielstwo to uwydatnić.

Tatiana z Olgą śpiewają, za podniesieniem kurtyny, duet (G-moll), który się wiąże w przepyszny całość z recitativem Lariny i Filipiewny, tworząc śliczny kwartet, oddychający prawdziwą poezją. Przeciwstawieniem jest chór żniwiarzy (C-moll), a capella (bez akompaniamentu), który w rytmie swoim zachowuje charakter ludowy; łączy się z nim następnie kwartet smyczkowy pizzicato, oraz dziarski taniec żniwiarów (B dur). W stylu Gounodowskim prowadzona tenorowa arya Lenskiego w pierwszym akcie (allegro moderato E-dur) płynie czarodziejską melodią na tle skrzypiec, i tłómaczy miłość poety. Doskonale w 2 odsłonie aktu I odtwarza Czajkowski stan duszy Tatiany w marzącym temacie G-moll, nieco zmienionym w formie; Tatiana walczy z sobą długo (przez całą noc), zanim odważy się w liście wyjawić namiętne uczucia. Miejsce to należy do najlepszych części opery. (D-moll moderato assai, a później bolesna skarga w Des-dur z obojem i waltornią); melodia oboju napisana jest melancholijnie i dziwnie rytmicznie, a zapowiada nadchodzący poranek, od którego czuć powiew, pełen świeżości. Chór dziewcząt (moderato con moto A-dur) w trzecim akcie trzymany w charakterze ludowym, akompaniuje tej chwili, w której Tatiana udaje się na schadzki w ogrodzie.

Muzyka balowa w operze tryska wdziękiem, szlachetnością i dystynkcyą. Prawdziwie francuzki walc D-dur, mazurek G-dur, oraz polonez G-dur, mają polot i zacięcie. Na tle tej muzyki wznosi się dramat kłótni i wyzwania Onegina przez Lenskiego; finał E-dur kończy ten akt wspaniale. Arya E-mol przed pojedyńkiem śpiewana przez Leuskiego, wywiera silne wrażenie, znajdując rzewny podkład w wolonczelach. Basowa arya Ges-dur ks. Gremina ma włoski charakter, a kuplet G-dur Francuza Triquetta ma doskonałą formę Mazartowskiego menuetu.

Dyrekcya teatru i reżyserya pracowały z dużym nakładem kosztów i niepospolitem artystycznym poczuciem. Tak wspaniale wystawionej opery na scenie naszej nie pamiętamy. Dekoracje do każdej odsłony (a jest ich 7) wykonane są świetnie, a taka sala w ambasadzie, albo krajobraz zimowy do sceny pojedynekowej, wywierają imponujące wrażenie, wyszły one z pracowni Burharta w Wiedniu. Kostyminy wykonane zostały w teatralnych naszych pracowniach i odznaczają się bogactwem i wytwornością. Tańce efektywne i urozmaicone.

Całość dzieła, pod względem muzycznym opracowana i kierowana przez dyrektora Podestiego, zasługuje na rzetelną pochwałę. Partye solowe spoczywają w rękach najlepszych, jakimi dziś rozporządzać można. Z wykonawców na pierwszym miejscu postawić należy p. Kruzelnicką, idealną interpretatorkę Tatiany. Pri-

madonna naszej opery stworzyła śliczną postać; Tatiana jest w tem wykonaniu typem, ujmującą i zjedyną najżywszą sympatyę. Artystka z wdziękiem nieporównanym wciela się w tę kreację i traktuje ją z wykwintnym smakiem; śpiewa też całą partyę z niepospolitą sztuką.

Tytułową partyę śpiewał przepyszny swym głosem p. Battistini; liryczne brzmienie tego głosu odpowiada najzupełniej charakterowi muzyki Czajkowskiego; Onegin też w wykonaniu utalentowanego śpiewaka interesował istotnie. Lenskiego wykonał p. Russitano, dobrze pod względem wokalnym, lecz niezbyt plastycznie pod względem gry scenicznej; arye przed pojedyńkiem odśpiewał p. Russitano z powodzeniem.

Z postaci Olgi niewiele zrobiła p. Carotini, trochę za banalna zarówno w grze, jak i śpiewie. Dobrą Lariną była p. D'Orto, łącząca powagę z dystynkcyą. P. Vervolli, jako Filipiewna, wywiązała się udatnie z roli nianki. Z drobniejszych postaci na pierwsze miejsce wysunął się p. Lewicki, jako Triquet; sympatyczny, staranny i utalentowany artysta dobrze wykonał charakterystyczny kuplet. P. Sillich w roli ks. Grenina, p. Dyliński, jako kapitan, p. Kowalski, jako Zarecki, mieli dużo zacięcia.

Odkładając referat o innych produkcjach muzycznych w naszym mieście do następnego razu, zaznaczamy, iż sezon operowy trwać będzie do 1 sierpnia i zapowiada się bardzo zajmująco i żywo.

A. Dobrowolski.

Więcej ruchu dla dzieci naszych!

Za nadejściem wakacji, owej pory odpoczynku dla spracowanej młodzieży szkolnej, najgorętszą chyba jest troską każdej matki jakby czas ten zużytkować, aby powrócić dziecku siły stracone przy ślęczczeniu nad nauką. Najmniej racjonalni nawet rodzice kosztem wielkich nieraz ofiar wywożą dzieci z miast na świeże powietrze, ale to jeszcze nie dosyć. Niemniejszą potrzebą tych małych męczenników „kucia” w szkole, jak sami trafnie naukę oceniają, jest ruch, którego byli pozbawieni przez tyle długich miesięcy. Otoż do tego ruchu należy skłaniać wszystkie dzieci; niech się bawią swobodnie, hałaśliwie: w piłkę, różne gonitwy i tem podobne gry, które od zamierzchłej chyba przeszłości stanowiły i stanowiąc będą zawsze rozkosz dzieci zdrowych. Niech więc krzyki dzieci naszych nie drażnią nam nerwów, nie obawiajmy się, aby wśród zbytniej swawoli nie nabrały złych manier, ubierzmy je odpowiednio i pozwólmy hasać dowoli, gdyż w ten sposób dzieci nasze bezwiednie starają się osiągnąć zdrowie fizyczne, a może nawet po części i zdrowie ducha. Poważne też już głosy odzywały się nieraz w tej sprawie, jak ważne znaczenie mają dla młodzieży zabawy na otwartem powietrzu, z ruchem połączone. I my dziś chcemy podać w streszczeniu czytelnikom naszym odczyt tej treści profesora Ziemssena, jednej z największych powag naukowych w europejskim świecie lekarskim. Odczyt ten wygłoszony został w Monachjum na zjeździe mającym na celu popieranie zabaw dla młodzieży na otwartem powietrzu.

Na początku odczytu Ziemsen wspomina z wdzięcznością swych wychowawców, którzy mu udawali wiele sposobności do zabawy na powietrzu. Temu to zapewne zawdzięcza, że pomimo późnego już wieku zachował jeszcze zwinność i elastyczność ruchów i wielką wytrwałość na trudy fizyczne. Gry wówczas były daleko prostsze niż obecnie, nie znano lawn-tenisa i footballu, bawiono się po prostu w piłkę i różne gonitwy, zapał jednak był zarówno wielki. „Ten niezmierny zapał młodzieży przy grach na otwartem powietrzu,” mówi Ziemssen „to jej oddanie się całą duszą dążeniu do przewyższenia towarzyszy w zręczności, ta szalona ochota krzyczenia i bory-

kania się nawet, jest instynktowym objawem, czego młodzież bezwzględnie potrzebuje, to jest niczem niekrępowanego ruchu na otwartem powietrzu.

W obecnym systemie przeciążania dzieci nauką, jakiż jest najlepszy sposób naprawienia tego złego? Otóż nauka i doświadczenie lekarskie poucza nas w tej mierze, że wyczerpane pracą umysłową nerwy najprędzej wracają do równowagi przy pracy fizycznej, kiedy wszystkie członki ciała ruszać się powinny, podczas gdy głowa odpoczywa.

Wpływ ten pracy fizycznej tem korzystniej oddziaływa na organizm, jeżeli jednocześnie psychiczne wpływy rozweselając działają na mózg; jeżeli z fizycznym wysiłkiem połączymy ożywienie zabawą i podniecie walki. Gry i rozumna gimnastyka są to dwa czynniki, które dzielnie walczą z przeciążeniem umysłem. Nie wyłączają się one wcale, ale przeciwnie dopełniają się we wzmacnianiem swem działaniu na organizm młodociany. Ćwiczenia gimnastyczne mają przecież w pierwszym rzędzie na celu wzmoczenie sprawności mięśni i stawów, umiejętność przewycięzania przeszkód, podniesienie elastyczności tkanek, jednym słowem opanowanie ciała a tem samem wyrobienie zaufania w swą siłę i zdolność do czynu.

Z istoty jednak gimnastyki wypływa, że ma ona przedewszystkiem zastosowanie dopiero w wieku młodzieńczym. Rzecz ma się zupełnie inaczej z zabawami na otwartem powietrzu. Ich główne działanie wypada na lata dzieciństwa t. j. na okres życia, kiedy mięśnie niesą jeszcze dostatecznie zahartowane dla trudniejszych ćwiczeń gimnastycznych, kiedy zbywa jeszcze na energii dla pokonywania trudności.

W gimnastyce poważne systematyczne ćwiczenia—w zabawach zaś pełen ożywienia ruch i współzawodnictwo w zabawie! Zabawy dla młodzieży tę jeszcze przedstawiają wyższość nad gimnastyką, że odbywają się na otwartem powietrzu, w którym niema pyłu, że hartują dzieci przeciwko zaziębieniu.

Najważniejszym dla nas punktem odczytu jest to, co Ziemssen mówi o fizjologicznem działaniu zabaw na poszczególne funkcje organizmu i na zbawienny ich wpływ na cały organizm w ogóle.

Otóż w pierwszym rzędzie wzmacniają się tu przyrzady ruchu, t. j. mięśnie i stawy, potem oddychanie i obieg krwi, mniejszem zaś jest działanie na trawienie. Funkcje te jednak w tak ścisłym pozostają z sobą związku, że uposledzenie jednej z nich pociąga zawsze za sobą uszczerbek drugiej i ostatecznie cierpi na tem cały organizm: jego odżywianie, wzrost, sprawność, siła odporna na wszelkie szkodliwe wpływy. Ruchliwość właściwa organizmom jeszcze rosnącym, niczem nieprzewycięzony popęd do biegania, skakania, wspinania się, do mocowania się z rówieśnikami, ma przyczynę w prawie natury, że o ile mięśnie nasze więcej pracują, o tyle krew lepiej krąży, płuca prawidłowej się rozwijają i ogólnaszych funkcji fizjologicznych lepiej działa. Utrzymać tę całą działalność organizmu w należytem porządku jest dla dziecka rzeczą tem większej wagi, że chodzi tu jeszcze o ciągły wzrost organów, o ogólny rozwój. Organizm dorosłego człowieka prędzej może znieść uposledzenie której z funkcji, jak organizm rozwijający się dopiero, który nie tylko musi pokryć codzienny deficyt wynikły z powodu przemiany materii, ale jeszcze myśleć o wytworzeniu nowych tkanek.

Przymusowy spokój mięśni podczas godzin nauki oddziaływa nie tylko na siłę i na odżywianie

nie się mięśni, do których wtedy tylko krew obficie dopływa, kiedy pracują,—ale wpływa także ujemnie na prawidłowy obieg krwi, która wówczas przepelnia organy pozostające wewnątrz naszego ciała;—wpływa on również ujemnie na działalność serca, która wtedy tylko jest prawidłową, kiedy nacisk krwi jest od czasu do czasu pobudzany przez wzmocnioną działalność mięśni.

Żwawe krążenie krwi, które bywa zwykle wynikiem wzmoczonej pracy mięśni jest głównym warunkiem normalnego rozwoju serca. O sprawności tegoż, jako też i innych organów stanowi prawo zasadnicze, że przez systematyczne ćwiczenie wielkość ich powiększa się. Ten proces przystosowania się organów do wzmoczonych wymagań, który szczególnie u rozwijającego się organizmu daje się spostrzegać, jest przecie także źródłem rozwijania się zdolności umysłowych, jak to każdy pedagog codziennie u uczniów swoich zauważyć może. Ale nie tylko zdolności umysłowe kształcą się przez systematyczne kształcenie; wiedza lekarska wskazuje, nam także na wzmaganie się choć w mniejszym już stopniu sprawności organów naszych życia roślinnego (wszystkie nasze organy oprócz mózgu). Szczególniejszej wagi jest, jak to już wyżej powiedzieliśmy, wpływ ćwiczenia na siłę serca, od którego nieustannej działalności życie ludzkie zawisło. Bez spoczynku i wytchnienia musi mięsień serca przez długie lata ludzkiego istnienia wciąż pracować. W skutek tego nasuwa się nam naturalnie pytanie, w jaki sposób możemy sercu dziecka zapewnić normalny rozwój, całość jego tkanek i wzrost jego siły? Głównymi warunkami dla osiągnięcia tego celu jest odpowiednie odżywianie ciała, zastosowany do sił dziecka ruch i praca mięśni, przy ciągłym jednak podnoszeniu się wymagań. Serce jak i inne nasze organy posiada zapas siły, której na zwykłą potrzebę życia wystarcza. Oprócz tego jednak rozporządza ono jeszcze funduszem zapasowym siły życiowej, który w nadzwyczajnych okolicznościach na jaw występuje i czyni je zdolnym do wielkich wysiłków mięśniowych, jak np. do wdrapywania się na góry, do jazdy na rowerze i t. p. Niechaj więc będzie naszym zadaniem powiększyć ten zasób siły życiowej serca przez ciągłe ćwiczenie. Ponieważ zaś ćwiczenie serca na tem polega, aby coraz wzmagać jego działalność, a działalność ta zawisła od wzmoczonej pracy mięśni, a zatem widzimy jasno, w jaki sposób możemy pobudzić serce do żywszego działania, o to tylko wprawiając w ruch mięśnie.

Najprostszym ku temu środkiem są gry połączone z ruchem. Już samo bieganie jest doskonałym dla serca ćwiczeniem. Niewprawne w bieganie dziecko, biegnąc przez pięć minut zadyszkuje się i dostanie silnego bicia serca; dziecko z sercem wyćwiczonym w tego rodzaju ćwiczeniach biegnie nie wypoczywając przez półgodziny, nie uczuwając ani zmęczenia, ani bicia serca. To jednak z ćwiczenia wypływające wzmocnienie serca jest tylko po części trwałe. Część tej siły życiowej znowu zanika, jeżeli zaniechamy ćwiczeń przez czas dłuższy. Chłopiec, spędzający wakacje w górach, znakomicie powiększa sprawność swego serca przez ciągłe przechadzki i wspinanie się na szczyty. Za nadejściem jednak zimowej kampanii szkolnej, większa część nabytej siły serca znowu przepada.

Tak samo rzecz się ma i z przyrzadami oddychania. Płuca tak samo się ćwiczą podczas żywszych ruchów, które wykonywamy jak i serce. Rozszerzenie się klatki piersiowej i płuc u dzieci pilnie biegających, skaczących w czasie wa-

kacy, jest rzeczywiście zdumiewające. Łatwo to skontrolować za pomocą spirometru, t. j. przyrządu, wskazującego nam, wiele powietrza pomieścić mogą płuca. Prelegent mówi, że od lat wielu z asystentami swymi mierzy co kwartał u uczniów ze szkół monachijskich sprawność oddychową płuc za pomocą spirometru i siłę mięśni za pomocą dynamometru. Jeżeli porównamy cyfry otrzymane w czasie wakacji z cyframi z czasów nauki, to dopiero będziemy mogli ocenić pomyślny wpływ ruchu na otwartem powietrzu.

Instynktowe popędy dziecięcego organizmu uczą nas jednak jeszcze czegoś więcej. Widzimy, że samo bieganie i skakanie nie wystarcza jeszcze bezmiernej potrzebie ruchu u rozwijającego się organizmu. Odruchowo więc dziecko dąży do większych jeszcze wysiłków, śpiewa głośno, krzyczy, a nawet kłóci się. Jest to najlepszy sposób dla ćwiczenia płuc, krtani, serca i obiegu krwi. Nie powinniśmy więc wciąż dzieci naszych przestrzegać, aby nie krzyczały tak głośno i nie kłóciły się przy zabawie.

Jak się apetyt wzmaga, jak twardym bywa sen po takich zabawach,—o tem wiedzą wszyscy. Każdy to także uznaje, że siła mięśniowa się wówczas wzmaga, że zwinność i elastyczność członków wzrasta, że buzie nabierają rumieńców, a spojrzenie staje się jaśniejszem i pewniejszym.

Wszystko to jasne jest zupełnie. Mniej jednak jest dostępnem dla szerokiego ogółu działanie ćwiczeń fizycznych na otwartem powietrzu na sferę psychiczną i intelektualną. Roztargnienie i zamyślenie się u wielu dzieci, fizyczne ich niedołęztwo, apatya umysłowa i moralna są przedmiotem troski wielu rodziców i wychowawców. Braki te mają bez wątpienia swe źródło w zaburzeniach, zachodzących w rozwoju fizycznym i w procesach towarzyszących rośnięciu. Anomalie te jednak dadzą się z pewnością usunąć, a przynajmniej złagodzić przez odpowiedni ruch na otwartem powietrzu. Można by nawet twierdzić, że lenistwo niektórych dzieci dałoby się usunąć przez udział w rozmaitych wspólnych zabawach, gdzie ubieganie się o zwycięstwo mogłoby także pobudzić ambycję stania się również pierwszym w szkole. Bojaźliwość natur słabych najłatwiej również w taki sposób daje się pokonać. Niejeden pieszczoł zmuszony do bronienia się od silniejszych towarzyszy nabrałby energii i przedsiębiorczości.

Rodzice powinni więc czuwać nad tem, aby dzieci ich, jeżeli przez rok cały są pozbawione dobrodziejstwa wspólnej zabawy na otwartem powietrzu, choć w czasie wakacji z nich korzystały. Nie powinni pozwalać na to, aby dzieci, co się często szczególnie też u dziewczynek zdarza, w tym wolnym od zajęć czasie, bez pamięci oddawały się czytaniu. Rodzice przedewszystkiem powinni uświadomić sobie całą higieniczną ważność zabaw połączonych z ruchem, ażeby poprzeć tę ważną dla zdrowia ogólnego sprawę. Wtedy dopiero wychowamy silne potomstwo, które ufne w swą siłę, żadnego trudu w życiu się nie ulęknie!

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: ark. 10-ty powieści, p. t. *Dwóch ludzi*, przez Idę Boy-Ed. Przekład Z. S.

Treść: Dzieci i przyroda, przez J. Moszczeńską (dokończenie). — Na werendzie. (Pogawędka) przez ??—Szczęście w zakątku, przez K. Głińskiego.—Kazimierz Głiński. Krzywda. Powieść (dalszy ciąg).—Ruch muzyczny, przez A. Dobrowolskiego.—Więcej ruchu dla dzieci naszych.

Dodatek obejmuje: *Dwóch ludzi*, powieść, przez Idę Boy-Ed. Przekład Z. S. arkusz 10-ty.—Przegląd mód. 25 wzorów i robót z opisem. Sekretu gospodarskie.—Dyspozycya obiadu.

Przegląd Mód.

Jakkolwiek sezon letni już się rozwinął w całej pełni i ma już ustaloną swoją modę, jednakże zaznaczyć w nim wypada pewne zmiany i nowości tualet damskich. Z pośród barw najczęściej używanymi są: bleu-marin, bleu-royal, szafir-bławatków, bleu-gendarme, bleu-lavende i électric, a przym: czerwony: zielony, popielaty i czarny. Do zawsze modnych i ulubionych kolorów należy granatowy, dla tego też zapewne przy obecnie noszonych fularach, najczęściej widzieć można sukien fularowych, granatowych, usianych większymi lub mniejszymi grochami. Zręczne fasony obecnie noszonych spódnic nadają fularowym sukniom nader wdzięczny wygląd, a szczególnie fason spódniczek, zakończonych dwoma niewielkimi falbanami, objętymi wąską koronką, lub jaśniejszą atlasową, wąską wstążeczką. Jeżeli do tego dodamy jeszcze dobrze do figury zastosowany staniczek, to nie ma chyba wdzięczniejszej i praktyczniejszej sukienki nad fularową. Do modnych noszonych i praktycznych, zaliczyć można również piękne sukienki grenadinowe, jedwabne, lub z lekkiego wełnianego woalu, w czarnym, lub innym jakim jednostajnym kolorze. Jako tualety lekkie te trzy rodzaje materiałów najczęściej odpowiadają swemu przeznaczeniu, a tak zwane „organdie“ lub inne batystowe materiały nie mogą tu mieć żadnego porównania, tak co do trwałości, jak i co do swego powierzchownego wyglądu. Bluzkowa forma staników stopniowo zanika, w zamian coraz częściej spotkać się dają obcisłe staniki z baskinami lub fraczkami, stojącym, wysokim kołnierzykiem, dużym kołnierzem marynarskim, lub wyłogami i odmiennymi karczkami. Przybranie stanowi białe, haftowane sukno lub kaszmir, często pasmantery, hafty, aplikacje, wstawki, taśmy i zakładki, pióra i guziki ozdobne z brązu, masy perłowej, sztydkretu i kryształu. Wracają też szelki, stosowane przy stanikach i robione ze wstążek, aksamitek, naszywane rieszkami i przechodzące pod paskiem aż na spódnice. Rękawy bywają zazwyczaj zupełnie obcisłe, na ramionach tylko, niekiedy są imitacje epoletów z aksamitu, lub szeregu zakładek.

W spódnicach spotykamy się także ze znacznymi zmianami: są one zazwyczaj bardzo obcisłe na biodrach, u dołu zakończone falbaną, zaczynającą się dopiero na bokach, gdyż przód bywa zazwyczaj gładki. Przyszyte falbany pokrywa taśma, pasmantery, lub coś podobnego. Najulubieńszym jednak modelem są pięknie rzucone tiuniki i tych coraz więcej widzieć się daje.

Na tualety wieczorowe i reunionowe używane bywają jasne sukna i kanausy w kolorach dość jaskrawych, w kratę szkocką, lub inny fantazyjny deseń, zaś jako przybranie służą koronki, gazy i krepy.]

Co do kapeluszy, to noszone bywają rozmaitych fasonów. Wspaniałe „chapeaux marquis“ z pysznymi piórami, lub zręcznie upiętym drobnym kwieciem, są ulubionym modelem dla młodych osób do wszelkich strojniejszych sukien spacerowych, koncertowych, wyścigowych i t. p. Pierwszorzędne nasze magazyny celują w tego rodzaju kapeluszach. i tych przesliczne modele widziałam w magazynie pani Suskiej i Lothowej. Oprócz tego fasonu wszakże najulubieńszym jest jeszcze kapelusz „empire“ z dużym rondem, w jasnych kolorach, podbitym jasną materią. Toczki są większych nieco rozmiarów, za to kapotki mikroskopijnie małe i przybierane kokardą lub egretką z piór. Do przybrania większych fantazyjnych a strojnych kapeluszy cieszą się wielkim uznaniem kwiaty. Szczególniej noszone są modne zawsze maki, habry, wspaniałe piękne róże, niezapominajki i drobne różne kwiateczki. Te ostatnie przeslicznie wyglądają na kapeluszach, zdobiących główki młodych pańienek, a kwiaty wyrobione u pani Wandy Siwińskiej tak znakomicie naśladowują naturę, że prawdziwie z trudnością przychodzi rozróżnić kwiat naturalny od robionego w jej fabryce. Dla tego też z przyjemnością oglądać można całe stosy przeslicznych okazów kwiatowych, wabiących oko naturalnością barw i kształtów, artystyczną ręką wykonanych.

Z okryć noszą peleryny pół-długie, z odcinanymi falbanami i kołnierzami „Médicis“ i przybierane haftem, pasmanterią i stebnowaniem, lub długie paltoty „sac“ z wysokimi kołnierzami, fason dystyngowany, lecz nie bardzo ładny.

W obuwiu, należy zaznaczyć, iż wynaleziono specjalny sposób szlifowania, czy polerowania skóry kozłowej i nadawania jej tym sposobem koloru stalowo-popielatego, co przy lakierowanych przyszwach bardzo oryginalnie wygląda. Robią też cholewki z tegoż co i suknie materiału, lub angielskiej brokateli. Do wszelkich zaś dalszych spacerów, pieszych górskich wycieczek, lub wspaniałych przechadzek, najlepszym obuwiem są pół-buciki z ciemno-brązowego płótna, obłożone brązową skórą.

Ubranie do wód dla młodej osoby.

Rycina Nr 1.

Elegancka ta suknia z ponsowej etaminy na żółtawej materii, posiada gładką, falbanową spódnice i marszczony, bluzkowy staniczek, wszyty w karczek. Karczek ten, zrobiony z żółtawej materii i gipiury, ograniczają kilkakrotne zmarszczenia z przeciagniętym sznureczkiem,

a zakończenie stanowi wysoki kołnierzyk, również gipiurą pokryty. Na ramionach spoczywają dwie długie patki z materii żółtawej, pasek zaś zrobiony jest z ponsowej, atlasowej wstążki. Spódnica posiada trzykrotne naszyte gipiurą koronką. Całość uzupełnia kapelusz z fantazyjnej plecionki, przybrany z drapowaną gazą o spadających ku tyłowi, plisowanych końcach i wiązaną kwiatów z lewego boku przypiętych.

Ubranie letnie z woalu, przybrane irijską gipiurą.

Rycina Nr 2.

Bardzo ładne połączenie stanowi jasno-popielato-niebieski woal sukni z żółtawą gipiurą koronką, której użyto do przybrania staniczka. Ten ostatni zaszyty jest cały w drobne zakładki, powtarzające się grupami i idące ku dołowi ukośnie, łącząc się na przodzie i plecach. Pomiędzy zakładkami naszyta jest żółtawa materia z koronką. Wycięcie również podłożone jest gipiurą, pokrywającą zarazem wysoki, stojący kołnierzyk. Falbana spódnicy, zarówno jak jej przyszyte, pokrywają również zakładki, zebrane w grupy. Obcisłe rękawy posiadają na ramionach przybranie z zakładek i gipiury.



Nr 1. Ubranie do wód dla młodej osoby.

Suknia z alpaki.

Rycina Nr 3.

Nadzwyczaj elegancka ta tualeta z białej alpaki, odznacza się gustem i oryginalnością fasonu. Ten ostatni polega na spódnicy z tiuniką, wyciętej w zęby i obszytej rolkami z białego atlasu, oraz na staniczku podobnie przybranym. Ten ostatni posiada otwarte, wydłużone w kształcie patek przody i wyłogi, ukazując kamizelkę i przechodzące na plecach, w potrójnie naszyty kołnierż. Uzupełnieniem sukni jest biały, atlasowy pasek i stojący kołnierzyk z koronkowym żabotem.

Sukienka dla dziewczynki od 9—10 lat.

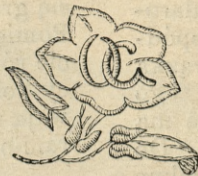
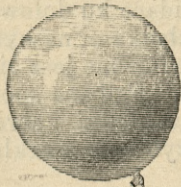
Rycina Nr 4.

Rycina podaje sukienkę z ponsowego woalu w kropki, złożoną ze spódniczki i bluzkowego staniczka, zakończonego paskiem z kremowego „surah.“ Z tegoż materiału zrobionym jest podkład, układany w drobne zakładki i ograniczony koronkową bordiurą. Podobnie z „surah“ i koronki zrobione są mankiety rękawów.

Suknia spacerowa na wody.

Rycina Nr 5.

Podana tu suknia z blade-niebieskiej „crêpe de Chine,“ posiada przybranie z pięknej iryjskiej koronki. Tualeta ta zrobiona jest fasonem „princesse,“ w rodzaju tiuniki, podnoszącej się ku tyłowi i ukazującej spódnicę z plisowanej falbany, zakończonej wąską falbanką. Wycięcie tiuniki, oraz rękawy, pokryte są koronką i przysłonięte chusteczką „Marie-Antoinette.“ Tiunika oszyta jest u dołu szeroką koronką.



Nr 2. Ubranie letnie z woalu, przybrane iryjską gipiurą.

Nr 3. Suknia z alpaki.

Nr 4. Sukienka dla dziewczynki od 9—10 lat.



Nr 5. Suknia spacerowa na wody.

Kostium sportowy dla młodej panienki.

Rycina Nr 6.

Kostium niniejszy zrobiony został z białej angielskiej tkaniny i przybrany granatowymi pliskami, naszytymi w grupach. Fason polega na gładkiej spódnicy i wyrzucanej, marynarskiej bluzce z kołnierzem i podkładem. Zakończenie kołnierza stanowi krawat granatowy, naszyty białymi wypustkami. Rękawy przymarszczone u ręku posiadają mankiety, naszyte pliskami. Pasek z białej skórki i biała czapeczka dopełniają całości.

Mantelet z frendzlą.

Rycina Nr 7.

Eleganckie i dla młodych osób stosowne mantelet, zrobionem zostało z białego kanausu, pokrytego haftowaną gazą i pailletkami, które bardzo efektowną tworzą całość. Przód mantyli wydłużony na przodzie w ząb, naszyty jest wzdłuż konturów riuszkami z gazy, części pokrywające rękawy, oszyte są frendzlą i bufami z gazy. Wysoki kołnierzyk pokrywa riusza gazowa, spięcie zaś stanowią dwie rozety, zakończone frendzlą. Kapelusz z czarnego lyczka zdobia białe, atlasowe wstążki.

Suknia z etaminy i kapelusz.

Rycina Nr 18.

Strojna ta suknia, zrobioną została z popielato-niebieskiej etaminy i pomarańczowego atlasu. Przybranie stanowią riuszki z popielato-niebieskiej wstążki, koronkowe bordiury i kokardy w stylu „Ludwika XV,“ zrobione z czarnej aksamitki. Spódnica, zrobiona oddzielnie i spoczywająca luźno na spódnicy z podszewki, zapięta jest na boku i naszyta riuszkami w zęby, okalające cały dolny brzeg i ograniczające lewy brzeg przodu, zapięty na małe agrafki. Bluzkowy stanik, wycięty pod szyją, posiada również boczne zapięcie, podobnie naszyte riuszkami ze wstążki i przepięte kokardami z aksamitki. Wycięcie podłożone zostało karczkiem z marszczonego atlasu i ograniczone



Nr 6. Kostyum sportowy dla młodej pani.

bordiurową koronkową, oszytą z obu stron wstążeczkami. Bordiurę naszyte zostały również obcisłe rękawy z bufeczkami, zakończone u rękawki mankietem z riużką. Pasek z atłasu zapięty na boku pod kokardką z aksamitu. Kapelusz odznaczający się lekkością, pokryty jest w całości jedwabnym tiulem i przybrany z boku rozetami z aksamitu i dwoma piórami strusiemi, przepiętymi agraftką dżetową.

Haft na poduszkę.

Rycina Nr 27. (Deseń odwrotna str. tabl. fig. 117).

Haft podany na rycinie wykonany został na kremowej, lśniącej materii, mającej 44 cm. dług. i 35 cm. szerok. Deseń



Nr 11 i 12. Nowa halka i biusthalter. (Kroj i opis odwrotna strona tablicy, Nr XIII, fig. 115 i 116, i zmniejszony kraj fig. I—IV).

przedstawia bardzo w modzie będące kwiaty maku, utrzymane w kolorach naturalnych. Bordiura, przedstawiająca makówki wyhaftowane, posiada tło ze lśniącej, brązowej włóczki. Przystępując do wykonania roboty przenieść należy deseń podług fig. 117 na kanwę kongresową, poczem wyszywać kwiaty ściegami ukosnymi hamburską włóczką. Liście wyszyć trzema odcieniami zielonego koloru, kontury zaś obwieść czarną włóczką ściegiem gałązkowym, w tym samym kolorze wyszyć nerwy liści. Kwiaty maku wykonać należy kolorem terracotty w czterech odcieniach, a środki—kolorem popielato-zielonym i brązową chenillą. Makówki bordiury, wykonane są popielato-zielonym kolorem i obwiedzione ciemniejszym odcieniem. Tło bordiury wyszyć w kwadraciku ściegami płaskimi, brązowym kolorem.

Dywanik kąpielowy.

Rycina Nr 21. (Deseń odwr. str. tabl. fig. 115).

Rycina przedstawia odpasowany dywanik, mający 60 cm. szerokości i 96 cm. długości z grubej, popielatej tkaniny w ponsowy deseń. Bardzo ładnie przybiera go szeroka bordiura popielatego koloru, wycięta w zęby i wyhaftowana w róże polne. Długość tych pasów wynosi po 138, a szerokość po 98 cm. Przystępu-



Nr 8—10. Suknia, kapelusz i havelock na podróże. (Kroj, desenie i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—13).

jąc do wykonania haftu przenieść należy deseń fig. 118 i podług tegoż wyszywać róże kolorami czerwono-brązowymi ściegiem gałązkowym. Brzegi zewnętrzne obdzierać w drobne ząbki, poczem materiał odciąć.

Kostyum podróży.

Rycina Nr 5 w Bl. Nr 25.

Kostyum podróży ze szkockiej grubej wełny. Spódnica gładka. Stanik bluzkowy z kamizelką i wylogami z białego sukna. Kołnierzyk wysoki stojący.

Sukienka dla młodej pani.

Rycina Nr 6 w Bl. Nr 25. (Kroj i op. odwr. str. tab. Nr XI, fig. 76—87).

Sukienka dla młodej pani z wełny granatowej w białe paski. Spódniczka na



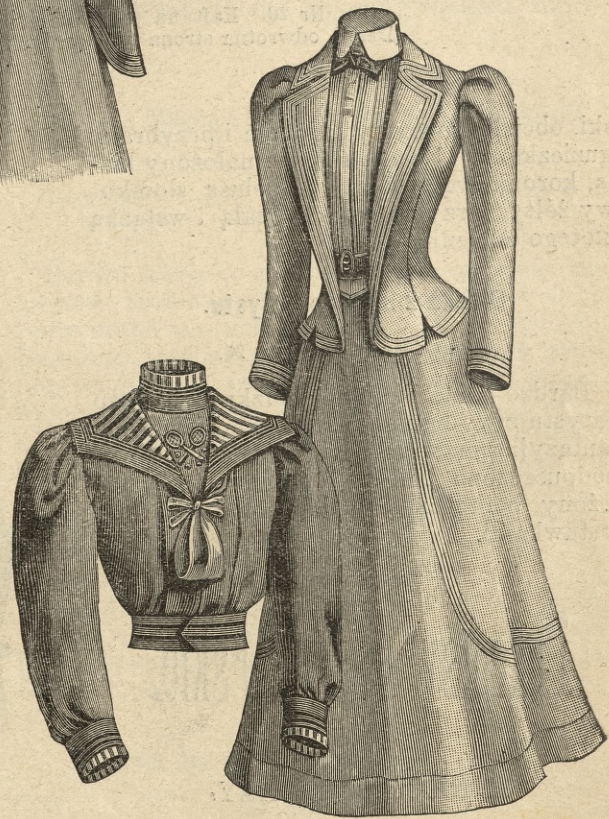
Nr 7. Mantel z trendzłą.

jedwabnej podszewce, naszyta trzy razy granatową taśmą. Stanik bluzkowy, z karczkiem plisowanym z białej, jedwabnej „surah.“ Rękawy obcisłe, zakończone u góry kilkoma drobnymi zakładkami. Patki na staniku zapięte na dwa ładne, fantazyjne guziki.

Suknia wizytowa.

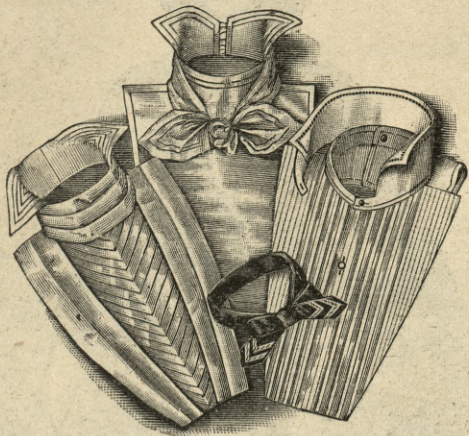
Rycina Nr 7 w Bl. Nr 25.

Suknia z ciemno-fioletowego kaszmiru. Spódnica powłóczysta na jedwabnej podszewce, 3 razy naszyta wązkim, jasno-



Nr 13 i 14 Kostyum z żakietem i bluzką, dla pani od 14—15 lat. (Kroj, wzór i opis odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 65—78).

lila galonem. Stanik ułożony z jasnej lila jedwabnej gazy, na wierzchu małe, okrągłe bolero, naszyte galonem. Pasek galonem naszyty, spięty na klamrę ze strósu. Na plecach bolero z paskiem łączą z dwóch stron trzy patki, na klamerki spięte. Kołnierzyk stojący, galonem naszyty. Rękawy obcisłe, galonem zakończone.



Nr 15-17. Różne chemizetki i krawatki etc. (Kroj i opis pierw. str. tabl. Nr VII, fig. 42-49).

Ubranie wizytowe.

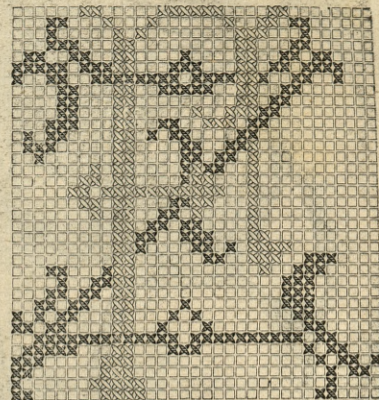
Rycina Nr 8 w Bl. Nr 25.

Ubranie wizytowe angielskim krojem z paskowego „covert-coat'u,” na jedwabnej, jasnej podszewce. Spódnica z przodu rozcięta, naszyta galonem i drobnymi guziczkami. Stanik angielski, obcisły, obsyty galonem i przybrany guziczkami. Karczek mały, nałożony białą, koronkową gipiurą. Kapelusz słomkowy żółty, przybrany gazą białą i wstążką złotego odcieniu.



Nr 18. Suknia z etaminy i kapelusz.

kartoflanej i dalej rozrabiać powoli przegotowanym, gorącym mlekiem, na koniec na ogniu postawić, ciągle mieszając zagotować, zdjąć z ognia, wyłożyć na salaterkę i zanieść na łód do piwnicy do zastudzenia. Wydając, podać do tej leguminy jednocześnie sos ze słodkiej śmietanki, ubitej z cukrem i wanilią.



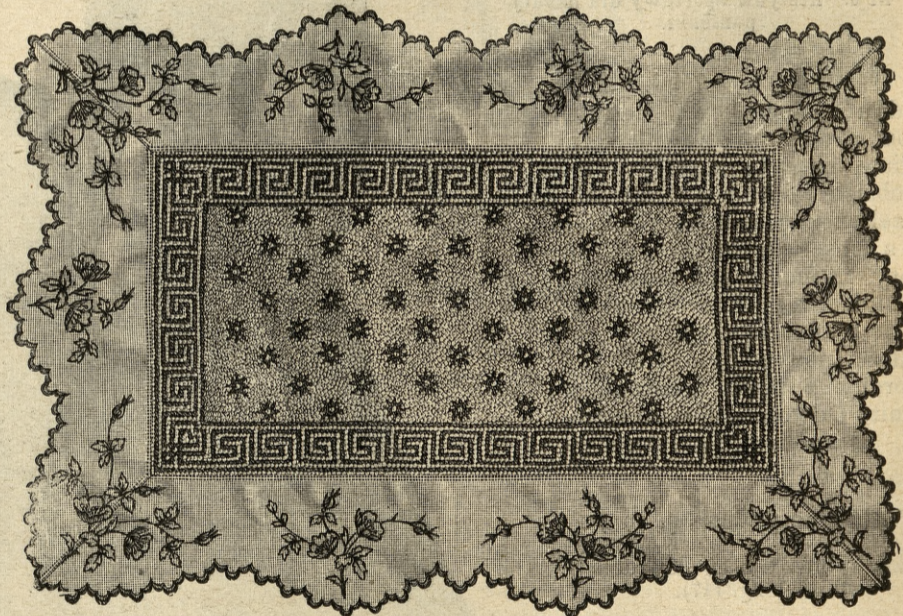
Nr 19. Monogram F. Z.

CIASTO Z WIŚNIAMI.

Na przygotowane zwyczajne kruche ciasto, włożyć na palec grubości wiśni wydrążonych i grubo cukrem posypanych. Wstawić w piec i upiec. Jeżeli kto lubi—sporządzić sos następujący: pół kwarty śmietanki, jajko całe, pięć żółtek, ćwierć funta cukru i cytrynowej skórki.



Nr 20. Haft na poduszkę. (Deseń odwrotna strona tablicy fig. 117).



Nr 21. Dywanik kąpielowy. (Deseń odwrotna strona tablicy fig. 118).

ski, obcisły, obsyty galonem i przybrany guziczkami. Karczek mały, nałożony białą, koronkową gipiurą. Kapelusz słomkowy żółty, przybrany gazą białą i wstążką złotego odcieniu.

Bluzka z białego batystu.

Rycina Nr 13 w Bl. Nr 25.

Bardzo ładna i strojna bluzka z białego batystu z wylogami, nałożonemi jasno-lila fantazyjną materyą. Riuszka z lila gazy, podpuszczona białym haftem. Prząd nałożony poprzecznie białymi, haftowanymi wstawkami.

Przepisy gospodarskie.

KREM KARTOFLANY.

Pół garnca mleka zagotować. Kwaterka zimnego mleka rozrobić pół funta mąki



Nr 22-25. Kostiumy kąpielowe. (Kroj, deseń i opis odwr. str. tabl. Nr XII, fig. 97-114).

Na dopieczeniu polać wiśnie, w ten sposób sporządzonym sosem, wstawić w piec na kwadrans, wyjąć, pokrajać w kawałki na gorąco, posypać grubo cukrem, ułożyć na półmisku i podać.

Obiad na Niedzielę.

1. Chłodnik.
3. Paszteciki z mięsa w naleśnikach.
3. Raki w potrawie.
4. Szparagi.
5. Kurczęta z mizeryą.
6. Piana śmietankowa.

UWAGA.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze, dołączoną była do zeszłego numeru „Bluszczu.”